



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Sonata Bethowena. — Marzenia (wiersz). — Umarła, przez Oktawiusza Feuillet (dalszy ciąg). — Rycerz Mora (dalszy ciąg). — Nowości teatralne. — Echa z dziedziny naukowej. — Wiadomości z pod naszej strzechy i z obczyzny. — Z dziedziny humorystycznej. — Zawiadomienie. W Dodatku: Prawdziwa miłość. (arkusz 9).

Sonata Bethowena.

— Co pan myślisz o Bethowenie? — spytałem kiedyś jednego z moich znajomych, ponieważ lubiłem rozmawiać z nim o sztuce, która stanowi dla mnie przedmiot ciągłych studyów a oryginalny sąd mego towarzysza rozmowy, był mi nieraz pożyteczną wskazówką.

— Co ja myślę o Bethowenie? — odrzekł rzucając na mnie niespokojne, podejrzliwe spojrzenie, ale do czego zmierzasz?

— Pytanie moje jest jasne, chcę poznać pański sąd o tym geniuszu nieśmiertelnym, którego charakter, pomimo tylu wygłoszonych opinii nie jest stanowczo określony.

Po długim milczeniu, którego przyczyny nie umiałem sobie wytłumaczyć, dziwny ten człowiek rzekł do mnie.

— Chodź pan za mną.

Skoro stanąłem przy biurku, otworzył szufladkę, wyjął z niej zapisany papier i oddał mi go mówiąc:

— Przeczytaj ten rękopism jeżeli możesz, a skoro go odczytasz, zrozumiesz, dlaczego wahałem się odpowiedzieć na pytanie, które ci się wydawało tak prostem.

Manuskrypt jaki zabrałem do domu, zawierał we włoskim języku, następującą opowieść:

„A więc prawda, że jedziesz i wychodzisz za mąż! Rzucasz czarujący kraj, gdzie cię poznałem; zrywasz niewidzialny łańcuch, który pomimo spisku złośliwych, przykuwał nas wzajemnie, rozporządzisz sercem, którego pierwszą wonią ja oddychałem! Niech się przeznaczenie spełni. Oczekiwałem ciosu, który mnie dotknął, przeczuwałem oddawna smutne przebudzenie, jakie musiało nastąpić po śnie szczęśliwym. Pośród rzadkich zalet jakie posiadasz, pośród tej tkanki wdzięków i powabów, które otaczają cię jakby czarodziejską zasłoną, moje olśnione oczy umiały jednak odkryć niedostrzeżone słabości twojej bogatej natury. Tak, czarujące dziecko na które Bóg zlał tyle darów, ty także nosisz świadectwo słabości natury kobiecej i nieszczęśliwych czasów, w których żyjemy. Nim cię pożegnaj na zawsze, błagam, posłuchaj mnie trochę.

Sześć lat dobiega od chwili kiedy usłyszałem od ciebie wyznanie, które stanowiło odtąd urok i mgłę mego życia. Było to w piękny, jesienny wieczór, jeżeli pamiętasz to jeszcze, gdyż ja przypo-

minam sobie najmniejsze drobiazgi, odnoszące się do tej uroczej chwili. Siedziałaś w salonie ciotki, z kąd okna wychodziły na park otaczający tę wspólną rezydencję. Było to około ósmej wieczorem. Ciotka pani przechadzała się z resztą towarzystwa po ogrodzie, używając świeżego powietrza i prowadząc wesoło, lekką rozmowę o niczem, która jest jakby mimowolną wibracją fantazyi. Zostaliśmy sami w pokoju, jak to często bywało, pani siedziała przy fortepianie, błędząc zwinnymi palcami po klawiaturze, tymczasem ja udawałem, że czytam, siedząc opodal.

Niknące słońce z krańców horyzontu przesyłało nam ostatnie łagodne, drżące promienie. Cienie nocne zstępowały powoli ze wzgórz sąsiednich, a jasny księżyc roztaczał swe bojaźliwe blaski po nad lasami. Salonik był pełen tajemniczej woni, którą przynosił leciutki powiew wieczorny. Nic nie przerywało wątku naszych samotnych rozmyślań, chyba niekiedy wesołe wybuchy śmiechu spacerujących gości. Ciemność, która coraz więcej zalegała wewnątrz pokoi, nie pozwalała mi już dostrzedz pięknych, jasnych splotów, spadających jak snop kwiatów na łabędzią szyję, ani niebieskich oczów z odcieniem melancholicznym. Nagle palce pani, które dotąd przesuwwały się jakby przypadkowo po uległych klawiszach, tłumacząc te nieujęte myśli, które nazywają marzeniem, zwróciły się na temat, którego nuty melancholiczne wywołały we mnie

jakiś dziwny dreszcz: była to sonata *cis mol* Bethowena.

Przy pierwszych taktach tego prześlicznego utworu, doznałem jakiegoś bolesnego dreszczu. Długie ponure tony dźwięczały w głębi mej duszy i budziły uśpione echa, przypominające moje smutne przeznaczenie. Kiedy temat prowadzony w basie, przechodzi do odpowiednich tonów *mi ma-jor*, promień księżyca przebiwszy lekkie chmurki, oświecił uroczą pani postać, jakby ilustrując tę piękną modulację geniuszu. Wzruszenie moje wzrastało z każdym taktem odgrywanego *andante*, które zdawało się być echem skarg zebranych na Golgocie przez anioła boleści. Czy cisnęły mi się gwałtownie do oczów, gdy słuchałem tych tonów rozdzierających, tego nagłego dysonansu, wyrażającego tak głęboką rozpacz: Bethowen zdradził tajemnicę mego serca. O poeci, artyści, natchnieni łaską Bożą, wy jedni posiadacie dar czynienia cudów, wy jedni posiadacie naukę życia i opiewając cierpienia i radości waszej duszy, śpiewacie radość i smutek wszystkich. Pani tłumaczyłaś w tej chwili wzniosłą mową tonów to nieśmiertelne natchnienie, którego temat ginie pod haftem modulacji i wraca na nowo nim zamrze w pierwotnych, smutnych swych głosach.

Gwałtowne allegro, w którym szalał namiętności wybucha w patetycznych złorzeczeniach kończących się rozpaczliwym krzykiem, wybiegło z całą potęgą z pod palców pani. Zelektryzowany tem głębokiem wstrząśnieniem, rzuciłem się spieszenie ku oknu, aby ukryć moje wzruszenie. Po kilku minutach milczenia, kiedy usiłowałem pochwycić wątek moich myśli, powiedziałaś pani głosem zdradzającym tłumione wzruszenie:

— Co panu jest?

— Cierpię — odpowiedziałem — boleścią Bethowena, słuchając jak rozdartem jest serce jego. Biedny, wzniosły geniuszu, ile musiałeś wylać łez, podczas twego długiego konania, które trwało całe życie.

— Czy Bethowen był nieszczęśliwym? — zapytałaś.

— Czy możesz pani o tem wątpić? Czyż mógłby napisać tę sonatę i tyle innych zachwycających utworów, gdyby nie czerpał natchnienia w głębi swego serca? Czyż pani sądzisz, że sztuka jest próżną igraszką umysłu, zbytkiem wyobraźni, nabywaną albo odrzucaną do woli, kunsztowną budową złożoną z kłamstw, których recepty, książki i szkoły mogą nauczyć? Oh! to są wstrętne doktryny, głoszone, aby pochlebić tłumom zazdrośnym o każdą powagę, która im nakazuje szacunek. Chcą aby ciemne tłumy, których oklaski mają moc obdarzenia i władzę i rozgłosem, mogły także zainaugurować panowanie geniuszu, lecz tu wola człowieka napotyka opór w nieprzeniknionej tajemnicy życia. Nie, nie, pani, nie dochodzi się nigdy do udania namiętności, której nie doświadczyliśmy, nie wzrusza się ludzi wyrażeniem sztucznego uczucia, które nie zrodziło się w naszym sercu.

Sztuka w pełni swego blasku i różnorodności formy jest przeobrażeniem rzeczywistości i przecuciem przyszłych form życia. Gdyby nie obawa zjednania sobie u pani nazwy pedanta, przytoczyłbym mnóstwo wielkich imion, poetów i nieśmiertelnych myślicieli, którzy podtrzymywali wszędzie zasadę prawdy w sztuce i dowiedli, że niepodobna człowiekowi uwydatnić uczucia, którego sam nie doznał.

Czy pani wie co to jest retoryk? Jest to rzemieślnik słowa, który usiłuje zastąpić brak natchnienia zręczną kombinacją wyrazów. Wszędzie, gdzie tylko mechanizm zastępuje proste działanie umysłu ludzkiego, można być pewnym, że jest jakieś zboczenie, poniżenie zdolności ludzkich.

Sofiści, retorycy i wszyscy ci, którzy kładą słowa zamiast myśli, puste formy i martwe podobieństwa, zamiast uczuć i życia, są tem w sferze intelektualnej, czem hipokryci w sferze moralnej; kłamia oni prawdzie, oszukują bliźniego, jak próbują oszukać Stwórcę. Są to fałszerze monety, którzy kupują władzę i rozkosze ziemi za fałszywe tytuły, lecz ich panowanie jest nietrwałe. Bóg nie chciał aby człowiek obchodził się bez niego i powiedział wolności jak morzu: nie pójdziesz dalej, nie przekroczysz granicy przezemnie zakreślonej! Nie, wola i sztuczność nie mogą zastąpić nieobecnego natchnienia i napróżno człowiek próbuje natchnieniem myśli naśladować tajemniczy głos serca. Życie Bethowena a szczególnie historia sonaty, którą pani grała z takim uczuciem, mogłyby lepiej dowieść prawdy tej zasady niż niejasne ogólniki.

— Czy pan nie byłby tak dobry powiedzieć mi w jaki sposób powstała ta sonata, którą nad wszystkie inne przekładał? Nie znam zupełnie szczegółów życia tego wielkiego muzyka, a pan wiesz, jak lubię słuchać, gdy mówisz o sztuce która stanowi powab mego życia. Muszę przyznać, że nie rozumiałam wcale muzyki, nim szczęśliwy zbieg okoliczności, sprowadził pana w nasze strony. Moja ciotka, która ceni równie wysoko, pańską rozległą wiedzę, jak jego charakter, jest zachwyconą ilokrotnie rozmawiam z panem. Utrzymuje ona, że pana zapatrywania na sztukę i utwory mistrzów, zawierają zasady bardzo pożyteczne, mogące służyć zarówno w życiu praktycznym, jak ukształcić smak estetyczny.

— Zadaniem sztuki, podług mnie — odrzekłem — jest odtworzenie ideału jaki piastujemy w naszej duszy, a który pragnęlibyśmy urzeczywistnić na tej ziemi, gdyby nie stawały na przeszkodzie niekonsekwencje i słabości natury ludzkiej. Czy pani chcesz żywego przykładu na stwierdzenie mojej teorii? Otóż spojrzysz w koło siebie a zobaczysz, że ład i wykwiłta elegancja wygląda z każdego zakątka tego pięknego mieszkania, wszystko tu zdradza wpływ kobiety ukształconej, która umiała rozlać wokoło siebie harmonią, jaka panuje w jej duszy. Smak hrabiny de Narbal opiekunki pani poznaje się w edukacji świetnej i zarazem gruntownej, jaką pani dała i w użytku, jaki robi ze swego majątku. Dyskretna i miłośnierna ręka, która się wsunęła nieznacznie do mieszkania ubogiego, książki, ryciny, kosztowne przedmioty, zdobiące to mieszkanie, jak również muzyka, którą tu się słyszy, wykwiłtne towarzystwo, są to różnorodne objawy duchowego życia, szlachetnej istoty, której umysł i serce dążą harmonijnie do prawdziwego celu życia: urzeczywistnienia piękna. Ah! ileż bolesnych i zarazem uroczych wspomnień, wzbudza we mnie widok tego mieszkania, gdzie doznawałem tak łaskawego przyjęcia. Widzę, że gotów jestem zapomnieć o Bethowenie i sonacie *cis mol*, której chciałaś pani poznać historię. Ponieważ jest jeszcze wcześniej a pani Narbal lubi przedłużać wieczorne przechadzki, pozostaje nam jeszcze więcej czasu, aniżeli potrzeba na opowieść, którą pani chcesz koniecznie usłyszeć. Czyż moglibyśmy użyć lepiej przyjaznych

chwil tej pogodnej nocy, jak mówiąc o wzniosłej muzyce tego, który tak dobrze rozumiał harmonię natury!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MARZENIA.

Mroźny, iskrzysty gaśnie dzień zimowy;
Słońce czerwone za bory zapada;
Srebrzyste drzewa odbłask purpurowy,
Zlekka okrywa; twarz księżyca biała,
Świeci nad lasem; sinych dymów słupy
Wiszą nad ziemią; wieśniacze chałupy,
Błyszcza ogniami. Mrok coraz gęstnieje,
Ziemię otula, na ciemnej zasłonie,
Złote i srebrne jasne blaski sieje...
Zasiał.. na niebie milion gwiazd już płonie,
Płonie, migoce i sypiąc iskrami,
Ziemię okrywa niby brylantami.

Ciemno w mej chacie; w piecu ogień błyska;
Z trzaskiem się pali smolista sośnina,
Snopami iskieł naokoło tryska,
I już się zwolna dopalać poczyną.
Nad jasnym żarem sinawe płomyki,
Biegają czasem jak błędne ogniki.

Siedzę i marzę... Lubię te godziny,
Te długie, ciche, zimowe wieczory;
Wówczas przychodzą do mnie w odwiedzin,
Tęcze mary, ciche rozmowy,
Brzmia słodko w ruchu; na skrzydłach marze-
[nia.

Od łez uciekam smutku i cierpienia.

Wieczne dумы! Cudowne obrazy!
Krótkiego szczęścia niepowrotne chwile,
O wyście dla mnie jak owe cazy,
Gdzie bije źródło, gdzie rosną daktyle,
Kędy wędrowiec podróża znużony
Spocznie, napoju i jadła spragniony!

O wyście dla mnie jak ta czara wina,
Czara złocista, nędnym sokiem skrzęca,
Kiedy ją poda wysmukła dziewczyna,
Z płomieniem w oku, zapłoniona, drżąca,
O wyście dla mnie jak owe nektary,
Które w Olimpie spijał Jowisz stary!

Was błogosławie! Lecz biada tym biada,
Którzy przemarzają i prześnią wiek cały;
Dla których wszystkim będzie mara biała,
Obcym duch czasu i czyn mężki, śmiały,
Rozgoryczeni zejda z tego świata,
Kłątwa potomków będzie ich zapłata.

Takim być nie chcę; lecz po pracy dziennej,
Kiedy znużony zasiadę w mej chacie,
Lubię, gdy lekkie w odzieży promiennej,
Wy się przede mną marzenia zjawiacie,
Na swoich skrzydłach ciche i łagodne,
W cudne mnie kraje niesiecie pogodne.

Więc nie rzucajcie mnie kochane mary,
Lepiej mi z wami jakoś na tym świecie,
Wy mi niesiecie pożądane dary,
I znużanemu nadzieję dajecie,

Wśród cierpień życia wy gwiazdeczką złotą,
Świecicie jasno nawet nad helotą.

Tak, gdy na morzu rozszałe burza,
I wściekła spigtrzy wielkie siwe fale
A okręt ginie i już się zanurza,
I o ratunku nikt nie myśli wcale,
Widok niejasny dalekich wybrzeży,
Wlewa w rozbitków zasób siły świeży.

Bolesław Markor.

UMARŁA.

PRZEZ

Okta-wiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZEŚĆ TRZECIA.

(Dalszy ciąg.)

30 Marca.

Wczoraj wieczór dobrze się zabawiłem... Ale za-cznijmy od początku.

Powinienem był spodziewać się, że w następstwie tak wyraźnych zeznań mojej żony, prędzej czy później przyjdzie mi staczać walkę, nie o życie, ale o honor mój. Prokowałem przekonać, że zgodnie z dowodzeniami żony mojej, mili przodkowie nasi z ubiegłego stulecia dobrze pojmowali życie tolerując sobie wzajemnie a nawet powierzając małżeńskie swe wykroczenia; lecz jakkolwiek wy-zwoliłem się z wielu przesądów, nie zdolny jestem wznieść się aż do podobnego szczytu filozofii. Przyznaję, że logicznie biorąc, można usprawiedliwić teorie żony mojej o małżeństwie. Wychodząc za-równo z jej jak z mego stanowiska, jedyna i nie-u-stająca miłość między dwoma temiż samymi osoba-mi jest niezgodną z naturą niedorzecznością. Je-dna tylko religia i wyższe duchowe wierzenia mo-gą uwiecznić wierność małżeńską, ponieważ uświę-cają one w małżeństwie nie tylko wzajemny, prze-mijający pociąg dwóch osób i dwóch umysłów, ale ka-że wierzyć, iż łączy z sobą dwie dusze nieśmier-telne. I to także jest prawdą, że między dwoma tak szczerymi materyalistami jak ja i moja żona, małżeństwo tracąc religijną swą podstawę, jest już tylko prostą umową społeczną, zdaje się rzeczą ro-zumną i naturalną, aby małżonkowie porozumieli się przyjaźnie pod względem korzystania z jego przywilejów a zrucenia z siebie ciężarów. Tak, podobne dowodzenie doskonale zgadza się z nau-ką, trzeba jednak wierzyć, że teorie naukowe nie dadzą się zastosować do wszelkich na świecie rze-czy, a szczególnie do odnoszących się do porząd-ku moralnego...

Przyznaję, że przed parą tygodniami wmówi-łem w siebie mocą dowodzeń logicznych, że teorie mojej żony są zupełnie uprawnione i że, zarówno jak ona, dam dowód wyższego pojęcia życia, zga-dzając się na proponowaną przez nią umowę wzaje-mnej niezależności. Lecz gdy otwierałem już usta, aby oznajmić jej moje postanowienie, słowa uwię-

zły mi w gardle, ponieważ wbrew wszelkiej logice, uczulem, że zamierzałem dopuścić się haniebnej nikczemności. Widzę, że są przesady których nie pozbędę się nigdy i że pod pewnymi względami za-wsze zaliczać się będę do słabych umysłów.

Otóż wczoraj było u księżnej przedstawienie teatralne, składające się z żywych obrazów w któ-rych żona moja miała występować w kilku rolach. Posągowej piękność doskonale nadaje się do po-dobnych popisów. Obecnie nie towarzyszę jej już w świecie tak nieodłącznie jak dawniej, bywam z nią jednak dość często, tak dla przyzwoitości, jakoteż dla dowiedzenia się wszystkiego co by się do niej odnosić mogło. Od czasu zawiadomienia jakie udzielić mi raczyła, nie mogłem nie domy-slić się, że nowa jakaś miłość zajechała jej głowę i z łatwym do zrozumienia zajęciem, starałem się poznać kto jest jej przedmiotem. Nie było to tru-dnem, gdyż lekceważąc mnie sobie, żona nie uzna-wała potrzeby zbytniego wystrzegania się w mojej obecności.

Pewien książę nadzwyczaj piękny, należący do składu jednej z wielkich ambasad, rezydujących w Paryżu, był od jakiegoś czasu bardzo zajęty hrabiną de Vandricourt i tak nie ukrywał się ze swoim uwielbieniem, iż ono dla nikogo nie było tajem. Za zbyt często spotykali się w lasku, w teatrach, na balach, a nawet w domu moim i przy moim stole, aby mogło to nie zwrócić uwagi nie tylko obcych, ale nawet męża. Jednak o ile mogę ufać mojej znajomości podobnych stosun-ków, żona moja nie przekroczyła dotąd granic wy-zywającej zalotności.

Muszę przyznać, że nie lubię księcia. Odłoży-wszy na stronę wszelką zazdrość, jest w nim coś co mi się bardzo nie podoba. Jest to wysoki brunet z błyszczącymi oczami i długimi opuszczonymi wąsami, z których szczególnie zdaje się być du-mnym i w wiekiustym uśmiechu swoim wyszczerza zęby jak baletnica. Wszystko w nim dowodzi najzupełniejszego zadowolenia z siebie.

Książę występował w wielu żywych obrazach, a okazała jego postawa i lśniące białe zęby przy czarnych wąsach, ogólny zjednały mu poklask. Nareszcie ukazał się razem z moją żoną w grupie złożonej z dwóch osób, przedstawiających Judytę i Holofernesa. W chwili podniesienia zasłony, Judyta jedną ręką chwyta pałasz a drugą opiera się na łożu Holofernesa, pochylając się nad nim, aby przed wymierzeniem ciosu upewnić się, że jest w śnie pograżonym. Niepodobna zaprzeczyć, że oboje prześliczni byli w tej postawie; żona moja trzymająca swą białą rękę na czarnej niedźwie-dziej skórze, pokrywającej łożo i wlepiająca dzikie swoje oczy w twarz swej ofiary, książę z ustami roz-chylonemi uśmiechem rozkosznego marzenia, z wiel-kiemi złotymi kolcami w uszach, z brodą zaplecio-ną w sposób assyryjski. Zażądano powtórzenia obrazu.

Byłem za kulisami gdzie pełniłem obowiązki re-żysera. Nie mogę ręczyć czy tak było w istocie, ale patrząc z tego uprzywilejowanego miejsca, wy-raźnie zdaje mi się dostrzegłem, że w chwili spu-szczenia zasłony i tak już bardzo zbliżone twarze Judyty i Holofernesa, zbliżyły się jeszcze wię-cej.

W kilka minut potem, nadarzyła mi się sposo-bność oddania księciu małej przysługi, a mianowi-cie dopomóż mu do zdjęcia jego assyryjskiej ma-ski, przytwardzonej bardzo powikłanymi sznu-reczkami. Pochwyciwszy prędko nożyczki, od ra-zu przeciąłem sznurki, ale nie wiem, przez roztar-gnienie czy też niezręczność, odciąłem jednocze-

śnie jedną połowę długich jego wąsów. Przepro-silem go natychmiast jak najuprzejmiej, ale tak pocieszenie wyglądał ze swym jednym wąsem, iż je-dnocześnie głośnym parsknąłem śmiechem. Ma się rozumieć nie przyjął przeproszenia. Dziś rano pojedykowaliśmy się w Meudon i szpadą przebi-łem mu łopatkę. Przygoda ta bardzo ubawiła publiczność i zdaje się zmartwiła trochę moją żonę.

10 Kwietnia.

Nic nowego. Jednakowo rozkoszne pożycie, zaprawione wzajemną nieufnością. Żona moja rozmyśla o odwecie, z przerażającym spokojem. Podczas naszych sam na sam przy obiedzie orzuca mnie spojrzeniami bynajmniej nie wyrażającymi czułości; ale mało mnie to dziś obchodzi i dlatego, szczególnie w jej obecności, jestem zawsze spokoj-ny i wesoły. I ja teraz, z kolei, nie kocham jej już wcale. Pedancki jej cynizm i wyrozumowana niemoralność, mają w sobie coś niewymownie wstrętnego co odziera ją w moich oczach ze wszel-kiego uroku kobiecego. Nadto pewny jestem, że ją rozkiełznane namietności i niezasycona cieka-kowość żadnego nie znające wędzidła, gotują mi tysiączne niespodzianki, od których spada nie za-wsze może zdoła mnie obronić. Obecnie zawiąza-ła nader ściśle stosunki z pewną cudzoziemką, nie cieszącą się bynajmniej dobrą sławą. Już to mu-szę przyznać, że szczególniejszy miałem pomysł, aby podobnej istocie powierzyć mój spokój, na-zwisko i honor!

Valmontiers, 20 Kwietnia.

Chcąc odetchnąć nieco czystym świeżym powie-trzem, pojechałem na kilka dni do Valmontiers, pod pozorem zarządzenia niezbędnych repera-cyi.

Zgodnie z moim rozkazem, pokój Aliety był zamknięty i opieczętowany, od chwili wyniesienia z niego jej trumny. Dziś po raz pierwszy wszedłem do niego... zaleciała mnie jeszcze słaba woń ulubionych jej perfum... Biedna Alieto! czemuż nie mogłem jak tego pragnęłaś tak gorąco, aniel-ska istoto, podzielać twoich wierzeń i wieść z tobą spokojne, pocziwe życie o jakim marzyłaś!... Obok tego jakie dziś stało się moim udziałem, by-łoby ono prawdziwym rajem.

Jakież to smutnej sceny pokój ten był wido-wnią!... co za bolesne wspomnienie!... Widzę je-szcze ostatnie jej wlepione we mnie spojrzenie... zdradzające jakby przerażenie... Jakże niespodzie-wanie umarła!... A owo osłupienie tego nieszczę-snego Tallevant!...

Pokój ten będzie odtąd moim pokojem, ale nie długo tu zabawię!... Chcę jechać na kilka dni do Varaville, aby zobaczyć moją córeczkę. Potrze-buję popatrzeć na jej ukochaną anielską twa-rzyzkę.

Valmontiers, 22 Kwietnia.

Jakże to wielka zmiana zaszła w świecie od cza-su moich lat dziecinnych a nawet młodzieńczych! Jak niepojęta zmiana w pojęciach moralnych!... Wtedy wszyscy byliśmy jakby na wskroś przejęci myślą o Bogu, o Bogu sprawiedliwym, ale zara-zem litościwym i kochającym nas jak ojciec kocha dzieci swoje... I żyliśmy pod jego okiem jak ojciec pod okiem ojca, z pewną obawą i uszanowaniem, ale zarazem z ufnością... Czuliśmy, że choć nie-widomie, czuwa jednak nad nami bezprzestannie.

Przemawialiśmy do Niego i zdawało nam się, że nam odpowiada... Teraz czujemy się sami i opuszczeni w niezmierności wszechświata... Żyjemy w świecie bezlitośnym, dzikim, tętnącym nienawiścią, którego jedynym, okrutnym prawem jest walka o byt, a my jesteśmy tylko rozhukanymi żywiołami, ucierającymi się z sobą z dzikiem samolubstwem, bez litości, bez prawa apelacji, bez nadziei ostatecznej sprawiedliwości... A po nad nami nic... lub gorzej niż nic, bo jakieś bóstwo obojętne, szyerskie, okrutne, zamiast dobrego i miłosiernego Boga naszych lat młodzieńczych!...

Valmontiers, 23 Kwietnia.

Pani de Courteheuse, matka Aliety, od pewnego już czasu była cierpiąca; zapóźno odebrałem zwróconą mi z Paryża depeszę o jej śmierci. Wyjeżdżam do Varaville, nie mogę pozostawić tam nadal mojej córki. Z całej jej rodziny pozostała tam już tylko staruszka jej babka, z dziecinniała prawie panna de Varaville. Joasia kończy lat dziesięć, nie mogę zostawić jej pod opieką służby. Postanowiłem więc zabrać ją z sobą i albo zatrzymać w domu i czuwać samemu nad jej wychowaniem i edukacją, lub oddać na pensję do któregoś z klasztorów w Paryżu. Zasięgnę pod tym względem rady biskupa de Courteheuse. Obecność tej ukochaney dzieciny, osłodzi mi wiele przykrości, doda sił do zniesienia wielu rzeczy...

Varaville, 27 Kwietnia.

Przez jedną chwilę... jedną minutę... w owym pokoju w którym zamknąłem się z cieniem mojej biednej zmarłej, przyszła mi myśl straszna, okropna, ale odegnałem ją jako szalone urojenie... otóż szalone urojenie staje się straszną rzeczywistością.

Mamże to napisać?... O! tak, jest to powinnością moją!... ale od tej chwili dziennik ten rozpoczęty w tak wesołym usposobieniu, będzie moim testamentem. Nie chcę aby w razie śmierci mojej, tajemnica ta została zagrzebana wraz ze mną. Powinienem przekazać ją naturalnym opiekunom mojej córki... chodzi tu o jej dobro a może i o życie.

Oto co zaszło:

Zawiadomiony za późno, nie mogłem zdążyć na czas dla oddania pani de Courteheuse ostatniej posługi. Kiedym przyjechał rodzina już się rozjechała; zastałem tylko brata Aliety, Gerarda de Courteheuse, obecnie kapitana fregaty. Oznajmiłem mu co postanawiam względem córki mojej i przyznał mi słusność. Zamierzałem zabrać Joasię wraz ze starą jej boną, Wiktoryą Genest, która najpierw matkę, a następnie ją wychowywała. Ale jest ona już w wieku i nie bardzo zdrowa, obawiałem się więc czy nie będzie stawiać mi pewnych trudności, tem więcej, że od czasu śmierci żony, w jej wychodzeniu ze mną przebiegała jakaś niechęć, prawie nienawiść. To też jedynie przez pamięć Aliety znośiłem cierpliwie jej dąsy.

Podczas gdy Joasia biegała po ogrodzie, przywołałem Wiktoryę do pokoju.

— Moja Wiktoryo — rzekłem — dopokąd żyła pani de Courteheuse, uważałem sobie za powinność zostawić Joasię pod jej opieką, gdyż nikt nie mógłby czuwać staranniej nad jej edukacją i wychowaniem. Obecnie obowiązek ten przechodzi na mnie. Zabiorę więc Joasię do Paryża i spodziewam się, że zechcesz jej towarzyszyć i pozostać przy niej.

Jak tylko zrozumiała o co chodzi, zbladła jak ściana i ręce jej drżać zaczęły.

Wpatrzyła się we mnie śmiało szaremi swemi oczami, mówiąc:

— Pan hrabia tego nie robi.

— Mylisz się, kochana Genest, tak postanowiłem i tak zrobię... Umiem cenić twoją wierność i przywiązanie... byłbym ci wdzięcznym gdybyś pozostała przy mojej córce... ale w ostatnim razie chcę być panem w moim domu i panem mojej córki.

Położyła rękę na mojem ramieniu, mówiąc:

— Proszę, nie czyn pan tego!

— Czyś zwaryowała, Wiktoryo!

— O nie! panie, gdybym miała być stracić rozum, byłoby to dawno już nastąpiło...

Ani na chwilę nie spuszczała ze mnie swego surowego, natężonego wzroku, jak gdyby chciała zajrzeć niem do głębi mej duszy.

— Nigdy, nigdy nie mogłam w to uwierzyć — wyszeptala — uwierzę jednak jeżeli pan zabierze ztąd Joasię!

— Ależ w cóż uwierzysz?... mówże, nieszczęsnal — krzyknąłem.

— Uwierzę — rzekła zniżając głos — że pan wie jakim sposobem umarła matka Joasi... i chcesz aby i ona tak samo zeszła ze świata!

— Aby jak matka zeszła ze świata? — powtórzyłem osłupiały.

— Tak... aby ta sama ręka śmierć jej zadała!

Zimny pot wystąpił mi na czoło, uczułem jakby owiewające mnie tchnienie śmierci... Jednak chciałem jeszcze odtrącić straszną prawdę.

— Zastanów się, Wiktoryo — rzekłem — rzeczywiście nie jesteś wariatką... ale gorzej jeszcze... ślepa twoja nienawiść do tej, która zajęła miejsce pierwszej mojej żony, podsunęła ci słowa ohydne, zbrodnicze...

— Dobrze więc, panie hrabio — zawołała z dziką energią — odważ się teraz zawieźć córkę swoją tej kobiecie, po tem com ci powiedziała!

Postąpiłem kilka kroków, aby zebrać myśli, poczem wracając do starej bony, rzekłem:

— Jakże mógłbym ci wierzyć!... Gdybyś miała najłżejszy dowód na poparcie tego co chcesz dać do zrozumienia, czyż tak długo osłaniałabyś to tajemnicą?... czyż mogłabyś dozwolić, abym zawarł tak wstrętne... ohydne małżeństwo?...

(Dokończenie nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Lisowski zamilkł, napił się wina, nalał go Borucie i rzekł:

— Owóż ten Mora osobliwie działał. I to już samo budzi w nas podejrzenie.

— Hm! — mruknął Boruta — nie stoi on tam o wasze podejrzenia. Ale jeżeli ty, mój Lisowski, chcesz wiedzieć, gwoli czego my tak czyniliśmy, to ci powiem.

— Ciekawym bardzo?

— Chcieliśmy sobie zaskarbić łaskę kasztelana. Nie mamy puszek, a jakże bez puszek wojować

ze Szwedem? To tak, jakby się z kijem porywał na tego, który ma miecz u boku.

— I to prawda.

— Otóż ja dlatego przywiodłem do rodzicielskiego domu kasztelanę, by nam jej rodzic w zamian dał harmat.

— Aha! harmat! chciecie?

— Tak.

— Czemu nie? byleśmy wiedzieli, komu damy.

— Rycerzowi Mora.

— Gadaj głupiemu, a nie mnie, panie bracie. Rycerz Mora! Takich w całej Polsce nie ma. Otóż ja tobie powiem, że nic nie będzie z harmat, jak nam nie nazwiesz owego rycerza jego właściwym imioniskiem.

— Nie będzie nic?

— Nie będzie.

— To pał was dyabli! — porwał się Boruta, i przypasując szablę, miał się ku wyjściu — Owa! — krzyczał — jacy mi wielcy dobrodziej! My się bez was obejdziemy. Puszeki sobie szablami na Szwedzie weźmiemy, a was niech kaduk porwie z waszemi harmatami i podejrzeniami. Stoję ja o was jak pies o piątą nogę. Podejrzenia, ceregiele, tere fere... niech was siarczyste biją pioruny!

I w wielkim gniewie nadział kołpak na głowę i szedł ku drzwiom. Ledwie go powstrzymał Lisowski i dalejże prosić, by się nie gniewał i rzucał. Uspokoił go przecież.

— Powoli, powoli — mówił — z waści widzę gorączka. Któż to tak robi sprawy na świecie? Wszystko można uczynić, jeno wolno i cicho.

Łagodząc tak Borutę, nie przestał jednak domagać się, by mu powiedział, kto jest Mora.

— Na nic się nie zda — odpowiadał dyabel łączycki — żeby ty nie wiem jak tańcował koło mnie i skakał, ja tobie nie powiem.

— Ale czemu panie bracie? Czegóż wy się boicie? przecież tu zdrady żadnej być nie może.

— Co jest, to jest, a ja nie powiem. Napiszcie wy do Mory kartelusz, ja mu go oddam do własnych rąk. On jeden tylko może na wasze pytania odpowiedzieć, ja nie.

— Kartelusz? a jakżeby to wyglądało? Cóżmy w tym karteluszu napiszemy? Jak się waść zwiesz? a on nam odpowie, a wam co do tego?

— Ja wam też to samo gadam.

— No... my waszmości pytamy się o tak, przy pogawędce, przy lampce wina, przez ciekawość jeno.

— Strzeż się panie bracie, ciekawość to pierwszy stopień do piekła...

Tak gadali jedno w kółko. Na ostatek Boruta, wspomniawszy sobie swoich, czekających nań w lesie, porwał się i zażądał w zamian za kasztelanę harmat. Długi był targ i wzdragania się, ale w końcu dali dwie harmatki z uprzężą i ludźmi, oraz furę z prowiantem.

— To wam się przyda — mówił kasztelan — a choć nie wiem pewnie tego, komu tem służę, niechże mu to jednak idzie na zdrowie. Człowieka, wóz i konie, odeszcie mi tu do Dankowa.

— A! — spostrzegł się Boruta — tak być nie może i pod takim warunkiem prowiantu ja nie wezmę.

— A to czemu, panie tego?

— Jaśnie wielmożny panie... — pocznie Boruta — nie wiem dlaczego, ale to wiem na pewno, że imcipan Mora a mój hetman chce pozostać nieznanym nikomu. Jeżeli mu Bóg sprzyjać będzie, a czemużby nie miał sprzyjać dobrej sprawie, to

imię Mory zabrzmi wkrótce szeroko po całej Rzeczypospolitej od onego morza co je *mare Balticum* zowią, aż po porocho Dnieprowe! I może on wtedy powie co jest za zacz, bo teraz to i ja o tem nie wiem...

— Panie tego, dasz słowo szlacheckie, że nie wiesz?

— Hm! może i wiem, ale nie napewno, więc słowa dawać nie mogę. Jakkolwiek atoli jest, jam żołnierz i słuchać winienem ordynansu starszyny. Nakazano mi nic nie mówić o hetmanie i strzedz, aby go nikt nie szpiegował i ja to czynić muszę, choćbym może nie chciał. Ale wiesz jaśnie wielmożny kasztelanie, w wojsku za niesłuch krygsrecht i łeb utną... No, a ja nie chcę jeszcze, by mi łeb ucinali... Owóż ja widzę, że z onym prowiantem i z oną odsyłką wozu, koni i człowieka jest jakaś zdrada, którą wymyślił imci-pan Lisowski, prawdziwy lis szczwany...

— Aleś ty szczwańszy, panie bracie! — odparł Lisowski.

— To pewna, że się na plewy wziąć nie dam?

— Ale dałbyś się wziąć na ziarno?

— Na co się dam wziąć, to do waści nie należy. I gadać ja tu po próżnicy nie będę. Prowiant zabiorę, ale mój człowiek go powiezie i wóz i konie przy nas zostaną. Przydadzą nam się...

Kasztelan zrazu był markotny i nie chciał się na to zgodzić, a Lisowski gadał do Boruty:

— Co też ci do łba przychodzi, panie bracie, że onego naszego człowieka na prześpiegi posyłały?

— A tak jest.

— Przypatrzno mu się. Patrzyć on na szpiega?

Istotnie chłop, który stał podług wozu naładowanego mąką, kaszą, słoniną, porzniętymi baranami i kufą gorzalki, wyglądał na głupca. Stał, ziewał i drapał się po łbie kudłatym i w kołtun zwiniętym.

— Chłop to jest prosty od pluga i ty chcesz! żeby on szpiegował. Trzech zliczyć nie umie, śmiał się Lisowski. A przytem po cóż on ma widzieć tego waszego hetmana? Czyż to tak łatwo chłopu zobaczyć hetmana? A jeżeli my chcemy, by nam wóz i konie były zwrócone, to jedynie dla tego tylko że nie mamy ani wozów, ani koni za wiele. Po folwarkach Szwedzi nam wszystko wybrali i oszczędzać się z tem musimy na wszelki wypadek. Oto jest wierutna prawda, a ty tam panie bracie widzisz zaraz zdradę jakąś...

— Jak jest, to jest — zaciął się Boruta — prowiant ochotnie wezmę dziękując zań jaśnie wielmożnemu kasztelanowi, ale człeka nie chcę i koni i wozu nie odeślę. Nam też to jest bardzo potrzebne, bośmy się biednie wybrali, nie dlatego, byśmy nie mieli, ale żeby nam w naszych marszach nie ciążyło. My chcemy latać jako piorun i jako piorun spadać na nieprzygotowanego i niespodziewającego się nas nieprzyjaciela. Dla tego musimy być lekcy i swobodni. Ale widzimy teraz sami, że bez wozu się nie obejdziemy. Wóz ten nam się przyda. Jest lekki, kuty, krakowski. O taki wóz nie łatwo w tych czasach. Należy nam się też trochę nagrody za uwolnienie kasztelanki. Jaśnie wielmożna kasztelanka więcej przecież warta jak dwie harmaty i wóz z kołmi.

Tak to wszystko pięknie wykladał Boruta, a wyszczekany był, gładki i uśmiechał się jakoś po szatańsku i gwałt sobie i kłaniał się, że nie było z nim rady. Wyszli teraz wszyscy na ganek

zamkowy i świeże, mroźne powietrze wypędziło mu z głowy czad winny, tak, że nie rzucał się już teraz, nie sierzcił i nie krzyczał, jeno mówił cicho spokojnie i uśmiechał się ciągle. Kasztelan też już nic nie gadał, jeno widocznie zły, rzekł:

— Zabierz sobie, panie tego, i wóz i konie i bądź zdrów!

To rzekłszy, kiwnął głową i poszedł do zamku. W pół pacierza potem Boruta z harmatami i wozem, na którym usiadł jeden z jego hajduków, przywiązawszy swego konia z tyłu, wyjeżdżał z bramy zamku Dankowskiego. Lisowski go odprowadził aż do mostu zwodzonego i gadał mu:

— Żleś zrobił, panie bracie. Kasztelan jest pan możny, a nie jest to ani grzecznie, ani politycznie obrażać takiego magnata.

— Alboż ja jego obraziłem? Nie moja wina, że on nie rozumie co to jest wojsko i ordynanse starszyny. A potem nie stoję ja o niego.

Był już za rowem i kłaniał się Lisowskiemu:

— Czołem!

— Czołem!

W miasteczku jazda podjadła sobie dobrze i konie też podpasła i wszyscy byli dobrej fantazyi. Na rozkaz swego wodza w mig dopadli koni i mieli już wyruszać, gdy do Boruty przecisnęła się jakaś mieszczka, nie młoda już, w jupce i chustce na głowie i oddała mu kartelusz opieczętowany lakiem i z herbem Habdank na pieczęcie.

— A to co? — spytał Boruta.

— Od jaśnie panny kasztelanki — szepnęła baba, oglądając się dokoła trwożliwie.

— Do mnie!

— Ano tak... jej służebna przypadła tu do mnie przed dwoma może pacierzami... Marysia, może wielmożny pan ją zna? Marysia ślusarzówna a moja krewniaczka... Ja tu w rynku mam chałupę i mąką handluję.

— Ale do kogo to? — zapytał Boruta.

— Ano do wielmożnego pana. Mój jest młynarzem, ma dwa młyny na Liczwarcie a trzeci arenduje — gadała baba a język jej latał jak pytel. Podparła się pod boki i dalejże: Maryska jest moja krewniaczka. Wpada przed dwoma pacierzami zadyszana, jakby kto ją gonił i gada: Moja ciotko, bom ja jej ciotka... Bo to widzi wielmożny pan, jej matka, stara Tomaszowa, i moja matka były sobie siostry cioteczne... Owóż wpada z jęzorem, z przeproszeniem wielmożnego pana, wywieszonym i gada: Moja ciotko oddajcie ten kartelusz panu hetmanowi tych żołdaków co tu stoją w rynku, jeno tak, żeby nikt nie widział. Ano, ja to zaraz spenetrowałam, bo choć to ja prosta kobieta...

Ale Boruta już nie słuchał. Wyczytawszy na liście, że jest do Mory, wyjął kilkanaście tyńfów, dał je gadatliwej babie, i rzekł jeno:

— Dobrze!

Za chwilę nie było go z jazdą w Dankowie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOWOŚCI TEATRALNE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

Gomulicki. — Przybylski. — Gawalewicz. — Świętochowski. — Tomaszewicz. — Mellerowa i Galasiewicz, tak zw. dramaty francuskie — reżyserya — wykonawcy — Lubowski.

(Dalszy ciąg.)

Z utworów dramatycznych większych rozmiarów, widzieliśmy na scenie warszawskiej w ubiegłym sezonie komedię pięcioaktową pana Walerego Tomaszewicza, p. n. „Zapóźno”.

Pan Tomaszewicz, choć nie należy już do młodych wiekiem, wystąpił po raz pierwszy jako autor oryginalny. Nowicyusza też widać na każdym kroku w komedyi „Zapóźno”.

Jednolitość czynności jest przednią zasadą każdej, dobrze obmyślanej kompozycji dramatycznej.

Odstąpienie od tej reguły nie wyszło na dobre nawet znakomitym autorom.

Nie zastanowił się nad tem p. Walery Tomaszewicz, gdyż w razie przeciwnym nie byłby wprowadził do swej komedyi dwóch równoległych obok siebie idących fabuł, z których każda wystarcza najzupełniej do zapełnienia ram utworu scenicznego szerszych rozmiarów.

Nic dziwnego, że akcja w komedyi p. Tomaszewicza nie może w takich warunkach posuwać się szybko a prawidłowo, naprzód, że nie jej rwie się po każdym spuszczeniu zasłony i musi być sztucznie nawiązywaną za każdym teje podniesieniem.

Paulin Remba, zamożny kupiec korzenny z Krakowa, ożenił się z panną Elizą Berką, córką zbankrutowanej szlachcianki, chorującej na „panię”. Kramarz rujnuje się na stroje i zbytki swej małżonki, a jejmość przypomina sobie wtedy, że popełniła megalomanię i ucieka z Romanem Jarskim, obywatelom ziemskim.

Dodawszy do takiego założenia jego naturalne skutki, możnaby z tej treści wykroić bardzo dobrze pełną komedię.

P. Tomaszewiczowi było to jednak za mało. Przeto wydał za owego bałamuta Jarskiego Emilię, córkę Poberskiego, mieszczanina lwowskiego, i kazał panu być szubrawcem, a pani idealną żoną. Jarski, gdy nasycił się dostatecznie miłością, wiarołomnej Rembowej, zgwałcił się w lęk, upokorzył się i wrócił na łono ciepłutkiego ogniska rodzinnego.

Podwójna ta fabuła musiała, jak inaczej być nie mogło, rozbić architekturę dramatyczną w komedyi p. Tomaszewicza. „Zapóźno” zawiera też rzeczywiście dwie ekspozycje: pierwszą w I akcie (dom Remby), drugą w III akcie (u Poberskich), i dwa zakończenia (dwie odsłony w V akcie.)

Rozszczepiona czynność wprowadziła także do komedyi niepotrzebny na scenie pierwiastek epiczny.

Monologi w formie powieściowej, latające dziurami w akcyi, wypełniają prawie połowę komedyi p. Tomaszewicza.

Autor, gubiąc ciągle nić przewodnią, musi widzowi opowiadać: co się stało i dlaczego się tak stało.

„Zapóźno” należy pod względem formy do utworów zupełnie chybionych.

A jednak posiada p. Tomaszewicz pewne uzdolnienie dramatyczne, przejawiające się w rysunku charakterów.

Udała mu się przedewszystkiem rodzina Poberskich: ojciec, matka i córka. Wprawdzie widzieliśmy takich radnych, jak ojciec Emilii i takie gniewające się matki jak pani radczyni już niejednokrotnie na scenie, bo typy to szablonowe, znane nie tylko w Polsce, lecz trudno żądać, aby każdy autor nowe tworzył postacie.

Dość, gdy umiał stare odczuć, odświeżyć i odmalować prawdziwie.

Nowy pierwiastek wcielił p. Tomaszewicz tylko w Emilię w akcie III. Jest nim owe trzeźwe, chłodne wyrachowanie mieszcanki, liczącej bardzo uważnie i odmawiającej podpisu pod akt rejentalny, choć nazwiska jej żąda ukochany mąż. Kocham ciebie, mężusiu, ale nie gardzę i pieniżkami. Cóż stanie się ze mną, z dzieckiem, gdy ty, lekomyślny szlachcicu wszystko roztrwonisz? Przeto gniewaj się, a ja nie dopuszczę się mimo to nierozumnego czynu.

Wybornie to pochwyciony rys i przeprowadzony zrecznie w samej akcji.

I pani Rembowa, egoistka, zimna, niekochająca nikogo, oprócz siebie, gardząca mężem mieszczańcem, szlachcianeczką, wytrzymuje krytykę, jeśli idzie o konsekwencję charakteru. Jest ona sobą od początku do końca, nie wypada ani razu z roli, nakreślonej jej w założeniu.

Szkoda tylko, że to założenie nie odpowiada rzeczywistości, gdyż Rembowa umiała być osobą dystygowaną, dobrze wychowaną, a takie panie nauczyły się w szkole życia, maskowania siebie i swych zamiarów. Wyrażają się one i poruszają „okrągło”, umieją ukłuć, ukąsić dotkliwie, nie podnosząc wcale głosu, choćby w sercu ich wrzało całe piekło nienawiści i nieszlachetnej złości. A pani Eliza z Berskich Rembowa w komedii pana Tomaszewicza, odzywa się i wymyśla poprostu mężowi i matce, jak ordynaryjna kucharka lub gałganiarka. Zbyt realizm nie służy nigdy tworom sztuki. Artysta powinien łagodzić, retuszować pospolite życie, aby nie robiło wstrętne wrażenia.

Wstrętnym jest także sam Remba, choć nie tak zamierzał prawdopodobnie sam autor. Wstrętnym jest, jako niedołęga, mazgaj, któremu brutalna żona pluje w twarz, którego lży bez najmniejszego protestu z jego strony. Marnie wygląda na scenie ten kramarz p. Tomaszewicza, tak marnie, że się widzi nie dziwi wcale pogardzie, jaką jego żona czuje do niego.

Nie udał się w końcu p. Tomaszewiczowi charakter starszej pani Berskiej. Pusta, samolubna marnotrawnica w akcie I-ym, wyrasta w IV-ym i V-ym na jakąś poważną, szlachetną matronę, nieubłaganą westalkę, strzegącą czci niewieściej.

P. Tomaszewicz nazwał utwór swój komedią. Nie takie jednak należy mu się miano. Jest to raczej dramat mieszczański z mocną przymieszką melodramatu, przepleciony oazami prawdziwej komiczności.

Niestety ten koloryt zaszkodził tak samo „komedii”, jak podwójna fabuła. Widz nie odnosi jednolitego wrażenia. Nie wie on, czy ma się śmiać, czy też płakać, więc ani się weseli, ani rozrzuca, tylko odwraca się od sceny z niesmakiem.

(Dokończenie nastąpi.)

Żelazo z dziedziny naukowej.

Eldorado pod biegunem północnym. — Meteory i aerolity. — Anomalie temperatur podziemnych. — Żelazo w starożytności. — Tunel pod rzeką Mersey. — Sparteina, nowy środek na cierpienia serca.

(Dokończenie.)

Pan Swank wydał w Filadelfii pod tytułem: *Dzieje fabrykacji żelaza w ciągu wszystkich wieków* dowodzące że użycie żelaza sięga daleko odleglejszej starożytności niż to powszechnie mniemano. Zdaje się że najpierw użytkowano z niego w Azji zachodniej i w północnych okolicach Afryki, najbliższej sąsiadujących z Azyą. Pan Swank podaje że już w nader dawnych czasach, Egipcjanie znali wyrabianie i użycie żelaza. Herodot wspomina o używaniu narzędzi żelaznych przy budowie Piramid. Grobowce Teb i Memfis, tych miast tak starożytnych iż początek ich ginie w pomroce wieków, przedstawiają posługujących się narzędziami, które archeolodzy uznają za żelazne lub stalowe. W Tebach znaleziono różne przedmioty żelazne, znajdujące się dziś w zbiorach Towarzystwa historycznego w Nowym Yorku, prawdopodobnie tysiące już lat liczące. Tutmes I panujący jak się zdaje na siedmnaście wieków przez Chrystusem, jak tego dowodzi długi napis Karnaku, odbierał w hołdzie od wodzów, podległych mu królów i sprzymierzonych monarchów niższego Egiptu, podarunki srebrne i złote, sztaby kutego kruszcu oraz naczynia miedziane, brązowe i żelazne. Belzoni znalazł sierp żelazny pod postumentem jednego ze sfinksów Karnaku, który, jak mniemam, musiał tam być umieszczony na jakie 600 lat przed erą chrześcijańską. W Muzeum Brytańskim znajduje się kawałek żelaza, który w roku 1837 znaleziony został we wnętrzu wielkiej piramidy Gizeh. Deuteronomium w rozdziale IV werzet 20 daje do zrozumienia że za czasów Mojżesza, Egipcjanie zajmowali się wyrobem żelaza, a choć Żydzi nie obrabiali go dla swych władców, znali jednak sposób wyrabiania tego kruszcu; powiedziane tam jest: „Lecz was wziął Pan i wywiódł z pieca żelaznego egipskiego” i toż samo wyrażenie powtarza się w księgach Królewskich. Nadto p. Swank przypomina jeszcze iż znaleziono odłamek bardzo czystego żelaza pod obeliskiem który w roku 1880 przewieziono z Alexandryi do Nowego Yorku.

Świat przemysłowy angielski z wielką radością powitał ukończenie tunelu pod rzeką Mersey. W miejscu w którym tunel ten przechodzi pod Mersey, rzeka ta jest tak głęboką, że największe okręty swobodnie przepływać mogą; na 1770 metrów długości tunelu, 1200 przechodzi pod wodą. Schody opuszczające się na 80 stóp pod ziemię, doprowadzają do kolei żelaznej, przewożącej z jednego na drugi brzeg rzeki. Tunel ten, najpiękniejszy wytwór geniuszu ludzkiego, jest dłuższy od tunelu pod Tamizą, inżynierowie zapewniają że nic nie zagraża jego trwałości. Sklepienie zbudowane z cegły i cementu jest tak twarde jak skała. Budowa tunelu trwała lat pięć i kosztowała około 32 milionów; o ważności jego można pojąć wyobrażenie gdy powiemy iż corocznie mniej więcej 20,000,000 osób przechodzi z jednego

na drugi brzeg Mersey, oraz 700,000 tonn towarów wyprawianych z Liwepolu do Birkenhead. Postanowiono wyprawiać pociągi co kilka minut, i z pewnością ruch nie będzie mniejszy jak na metropolitalnej kolei Londynu. Dla ułatwienia zejścia do tunelu starym i słabym, urządzona jest winda w której za każdym razem sto osób pomieścić się może. Tunel ten wpłynie niezawodnie na obniżenie cen żywności i przewozu towarów. Obecnie już pewien kupiec który wysłał z Alexandryi cały statek naładowany zbożem, to jest blisko 3,000 mil, zapłacił od worka próbek tylko 6 pensów, kiedy dotąd transport z Liwepolu do Birkenhead, wszystkiego 10 mil, transport wynosił 2 szelingi i 6 pensów.

Od dawna już dla osób dotkniętych cierpieniami serca, a szczególnie przyspieszaniem i nienormalnem jego biciem, digitalis stanowił najczynniejszy środek uspokajający, otóż obecnie pojawił się nowy regulator serca, a jest nim *siarczan sparteiny*. Wielu doktorów, po odbytych doświadczeniach, z wielkiem uznaniem wyrażają się o tym nowym środku leczniczym, a między innymi pp. Laborde i German Sée. Sparteina, odkryta w roku 1850 przez p. Stenhouse, jest to alkaloid znajdujący się w rodzaju janowcu, zwanym *Spartium scoparium*. Jest to płyn bardzo gorzki, nie rozpuszczalny w wodzie, ale łączący się ze wszystkimi kwasami, a z kwasem siarczanem tworzy sól krystaliczną, doskonale rozpuszczającą się w wodzie. Otóż fizyologiczne działanie tej soli zostało wypróbowane najpierw *in anima vili*, a następnie na ludziach. Oto jak pan German Sée przedstawia rezultaty swych badań i doświadczeń, oraz wskazówki terapeutyczne jakie z nich wyprowadził.

Z moich doświadczeń i badań klinicznych wynikają trzy skutki charakterystyczne i stanowcze: pierwszym i najważniejszym jest podniesienie serca i pulsu; pod tym względem, siarczan sparteiny równa się digitalis lub też alkaleidowi konwalii, zwanemu *convallamarinie*, tylko że działalność jej jest daleko wyraźniejsza, prędsza i trwalsza. Drugim skutkiem jest natychmiastowe uregulowanie zakłóconego rytmu serca i pod tym względem żaden środek lekarski nie da się z nim porównać. Trzecim skutkiem sparteiny jest przyspieszenie uderzeń serca, ilekroć z powodu wielkiego osłabienia, bije za wolno i za słabo; w tym razie działalność jej zbliża się do działalności belladony. Wszystkie te objawy następują po upływie jednej lub co najwyżej kilku godzin, i po zaprzestaniu używania tego lekarstwa, trwają przez dni trzy lub cztery. Przez ten czas siły się wzmacniają i oddychanie staje się łatwiejszem. Tak więc, mówi pan Sée, siarczan sparteiny powinien być jeszcze przepisywany w radzie nieregularnej cyrkulacji, oraz gdy puls jest nieregularny, przerywany, gdyż nader szybko doprowadza go do normalnego stanu.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Treść: Wieści z Galicyi. — Bajeczna zmora. — Głosy z Poznańskiego. — Bądźmy cierpliwi. — Szaleńcy wierzący w tryumf złości. — Prelekyta Stanisława

hr. Tarnowskiego. — Jej powód. — Ponowienie procesu p. Śnieżko-Zapolskiej. — Krzyżownicy p. Świętochowskiego. — Radość ich a przekleństwo czytelników. — Plony pracy pozytywistów warszawskich. — Składki na pogorzalców Stryja. — Wiedeński damski komitet. — Oburzenie Berlina. — Zajęcie się nami Prusaków. — Powody tego. — Wypadek z hipnotyzmem. — Odpowiedź na pytanie z czego się tworzy socjalizm. — Łupy wojenne w Stanach Zjednoczonych. — Nowa Joanna d'Arc.

Niepokojące wieści z sąsiedzkiej Galicji przycichły, a nawet na szczęście, przesada w sprawozdaniach reporterskich uznana powszechnie została. Pocięta to wielka, ale niech nas nie uspokoi usypiająco na kwestyę, która widać nie zamarła i sztucznie wydobyta i podsycana sprytem szatańskiej złości, niegodziwych, jeszcze staje się ową bajeczną zmorą, unoszącą się po nad polami mającemi być dotkniętymi zarazą.

Jest o niej wiele do pomówienia, gruby tom rozprawy zaledwieby rzecz do dna wyczerpał, ale w sercu ludzkim czasem jedno słowo więcej zdziałać potrafi jak rozprawy całych parlamentów a nawet ciał naukowych, popartych rozumem całego świata. Tym więc jednym wyrazem radbym do serc wszystkich przemówić...

Przycichły także głosy rozpaczki płynące z Poznania, ale nie z ułagodzenia dzikich rozporządzeń, tylko że walka wiekom wypowiedziana, w każdej chwili, godzinie i dobie jest niepokojącą, dokuczliwą, nuży, męczy, zniechęca, choć zbyt rażąco, nigdy nagle nie wyskakuje.

Bądźmy cierpliwi! Drogi różne do celu prowadzą, czasem sprzeczne myśli zamierzanej. Złość nie może panować: drąc się ciągle do szczytu, dziś już zdaje się, że dobiega zenitu swych pragnień... są wierzący, że to spełni, że należy przed nią uderzyć czołem, aby nie stać się kowadłem z dwóch stron bitym młotem. Szaleńcy! nie wiedzą, że chwila jeszcze dziejowego życia, a to co tak wielkiem się być zdaje, pęknie jak bańka mydlana.

Z powodu rocznicy trzechsetletniej zgonu króla Stefana Batorego, pragnącego ukrócić rozbrykanych do szaleństwa magnatów zwanych później królówkami... których dla dobra wszystkich usuwa się ze społecznego związku, otóż dla uczczenia pamięci tego wielkiego króla, profesor uniwersytetu krakowskiego p. St. hr. Tarnowski, obdarzył Warszawę trzema odczytami o rozwoju literatury w krótkim przebiegu lat jego panowania. Były one rzeczywiście bardzo krótkie bo lat tylko 11 trwające, ale obraz literackiej w nich działalności świetnie przedstawiony, mimowoli obudził żal, że było w niej więcej ludzi nauki, jak dzierżących miecz prawu posłuch nakazujący.

Proces p. Świętochowskiego redaktora Prawdy z panią Śnieżko-Zapolską, poszedł do apelacji, sprawa więc ponownie będzie sądzoną, a nim to nastąpi strony powaśnione, a raczej gromada przeciwników a dawnych współpracowników Prawdy, co chwila wzrastająca i krzyżowana przez nich p. Św. tną się obosiecznymi mieczami niewiele zważając na warunki parlamentaryzmu.

I tu p. Św. przegrywa sprawę. Okrutnie ćwiczonego drą w pasy, szarpia, drapia, szydzą, drwią prawdziwie pozytywnie, oko za oko, ząb za ząb, bo ktoby tam zważał na starych głupców, krępujących świat cały jakimiś przepisami ewangelicznej nauki. Tną się też bez miary i litości, armia przeciwników cieszy się, zaciera ręce z radości, przytupuje tanecznie, p. Św. odcina się... niebardzo skutecznie, a czytelnicy piekielnie się nudzą

czytaniem nic a nic ich nieobchodzących dowodzeń, przeklinają w pień i waśniących się i pisma co do podtrzymania tych waśni dopomagają.

W tym jednak worku pozytywnej szermierki, głos prawdziwej *prawdy*, ale nie p. Św., wydobył się z przygluszającej go wrzawy i dowiódł jak na dłoni, że kto jak p. Św., w dumaniach Pesymisty przed laty dziesięciu napisanych głosi światu, „że płaszczyk naszych jednożennych deklamacji osłania zbyt wiele widocznych popędów poligamii, ażeby ich można było z pod niego nie dojrzyć. Jeżeli się na mnie zbyt oburzysz, cnotliwy mężu, utul gniew w objęciach, dymisjonowanej lub urzędującej kochanki, która twoje małżeńskie sumienie pieściznami swemi nieraz usypia. Ty przed żoną kłamać musisz, ja przed czytelnikiem, nie potrzebuję”.

Otóż, kto tak niegdyś pisał, kto takie głosił zasady przedtem nieznane nawet w potocznym naszym życiu a w literaturze nigdy przedtem niewymówione, to usłyszawszy je w innym szyku ustawione w książce drukowanej, powinien bardzo serdecznie ucieszyć się, że praca literacka p. Św. tak prędko plon wydała. Stało się jednak przeciwnie, osoba w nowelce p. Śnieżko-Zap. tak przemawiająca przez Św. została wytargana za uszy, a Autorka obrzucona najobrzydliwszymi oskarżeniami jej życia domowego dotyczącymi.

Otóż i owoce pozytywnej uprawy niwy społecznej. Jest to jednak jedno dopiero maluczkie zdziebelko z wielkiego trującego drzewa, wyrosłego z gorliwej pracy pozytywistów warszawskich, którzy wszystko burząc, burzyć się wreszcie zaczęli pomiędzy sobą i czubić z dobitnym akcentem różnych dodatków słownych wprost na siebie wymierzonych.

Słusznie też Kolce powiadają: Czteroletni Michaś, zaczyna już uczyć się kaligrafii i kreśli pierwsze wyrazy: małpa, dureń i inne. Czyż potrzeba dowodzić, iż malec ten zdradza niemałe zdolności dziennikarsko-polemiczne i... postępowe, dodamy ze swej strony.

Na pogorzalców Stryja z Anglii i Francji nawet napływają liczne dary, a choć te dosięgły kwoty przeszło 150,000 guldenów wynoszącej, są tylko doraźną pomocą, ratującą od głodnej śmierci nieszczęśliwych.

Wiedeński damski komitet wydał ponowną odezwę, w której zawiadamia publiczność, iż składki zbierane dotąd wyłącznie na Stryj, będą nadal rozdzielane również i między pogorzalców Liska, przyczem wyraża nadzieję, iż decyzja ta nie będzie się w niczem sprzeciwiała intencjom składającej ofiary publiczności. *Neue fr. Presse*, zamieszczając odezwę powyższą, nie ma dosyć słów pochwały dla postanowienia komitetu i zachęca gorąco Wiedeńczyków do przyłożenia się do tego dzieła „prawdziwej humanitarności”. Rada gminy miasta Graz uchwaliła na ostatnim posiedzeniu swoim zapomogę w sumie zlr. 300 dla pogorzalców Stryja i Liska.

Lord major Londynu, ogłosił także składkę, którą dzienniki angielskie żywo popierają.

Czy z Niemiec a mianowicie z Pruss i Berlina przyjdzie choć krajcar na rzecz pogorzalców... można wątpić. Dzienniki bowiem z oburzeniem notują odezwę Gazety Polskiej przez wszystkie pisma polskie tak krajowe jak zagraniczne powtórzoną, aby lekarze polscy nie wysyłali pacjentów swoich do wód pruskich.

Wprawdzie z Berlina donoszą: wszystkie tu u nas dzienniki, pisma literackie i ilustrowane, naukowe, zajmują się Polakami, literaturą, historią,

społeczeństwem polskim, a fejetony zapełnione monografiami jak np. *Goethe und die Polen*, lub opisami Krakowa i t. p. Czy to objaw sympatii, współczucia, reakcji przeciw ustawom i planom polakożerczym? Nie, to tylko aktualność ciekawa, będąca w modzie, chętna przypatrzenia się temu, na co ostrzy się zęby, co ma się polknąć... z obawą czy w trawieniu śmiertelnych kurczów nie sprawi.

O *hypnotyzmie* i sile z niego płynącej, podaliśmy już sprawozdanie niemałego znaczenia, godne uwagi powszechnej. Z obawy aby lekkomyślnie przyjęte nie wywołało smutnych następstw, podajemy wiadomość zaczerpniętą z Kuryera Codziennego. Oto co w swych łamach mieści:

Dzięki Cumberlandowi amatorowie prestidigitatorzy od roku już zajmowali się wyłącznie odgadnięciem myśli, porzuciwszy dla tych zajęć, nawet hodowanie białych myszy i inne, jeżeli nie bardzo mądre, to przynajmniej nieszkodliwe produkcje.

Obecnie sprzykrzyło się to im widocznie, gdyż jeden z domorosłych amatorów magii, będąc w dniu wczorajszym na wieczorku u państwa M. przy ulicy Hożej, postanowił się zabawić w hipnotyzowanie.

Zebrani przyjęli śmiechem przedzierzgnięcie się amatora magii w zaimprovizowanego Donata, siostrzenica gospodarzy ofiarowało się służyć za medyum i wszyscy byli pewni, że się zabawią kosztem magnetyzera.

Tymczasem panna S. po upływie pary minut usnęła, co wszyscy zrazu przyjęli z niedowierzaniem wielkiem, z największym zaś sam magnetyzer.

— Jakto, to mi się udało, szeptał zdziwiony z początku, a przerażony następnie, nie mogąc panny S. obudzić.

Przerażenie udzieliło się i innym... Pobiegnięto po doktora.

Trzech godzin czasu jednak potrzeba było na przyprowadzenie do przytomności usnionego, a po ocuceniu panna S. dostała gorączki, która do dziś jeszcze nie ustąpiła.

Fakt powyższy podajemy zarówno dla przestrogi, jak i dla powstrzymania warszawskich Donatów od ćwiczeń; które się mogą stać niebezpiecznymi.

O *socjalizmie*, zagraniczne pisma obecnie wiele mówią. Na zapytanie z czego powstaje i jakim wzmagą się sposobem, jedno z nich wychodzące na prowincyi odpowiada.

— Czy znacie pp. Waryngtona i Lewesa?

— Nie, nie znamy.

— Są to panowie niezmiernie bogaci i nudzący się śmiertelnie, którzy dla chwilowej zabawki, postanowili rozegrać partję bilardu konno.

Gdy rozeszła się w klubie wieść o tem genialnem połączeniu dwóch rodzajów sportu, powstało wielkie zamieszanie: jedni członkowie oświadczyli się za pomysłem, inni przeciw uważając go za niewykonalny. Porobiono tedy liczne zakłady, do których przyłączyli się z wysokimi sumami i pp. Warrington i Lewes. Naznaczono dzień turnieju; zapaśnicy rozegrać mieli partję karambolową, a nagroda dla zwycięzcy od zwyciężonego naznaczoną została na 10,000 dolarów, czyli jak dzisiaj 20,000 rs. Zielony plac bitwy, na którym rozstrzygnąć się miała walka na kule z kości słoniowej, umieszczony został wujeżdżalni na wysokiej estradzie, jedynie dla osób konno dostępnej. Liczne zgromadzeni widzowie zajęli miejsce na trybunie, otaczającej bilard. Punktualnie o oznaczonej go-

dzinie zjawili się, przywitani hucznymi oklaskami, zapaśnicy, zaopatrzeni w niezwykle długie kije bilardowe, skrzyżowali je, średniowiecznych rycerzy zwyczajem i rozpoczęli partję. Panowie w lewej ręce trzymali cugle koni, prawą zaś uderzali *à pistolet* w bile. P. Jan Warrington, przy pierwszym sztosie, krótkim galopem dojechał do bilardu i chybił. Przeciwnik w ostrożnym klusie spróbował szczęścia i rzeczywiście zdołał zrobić 6 punktów. Trudno zaprzeczyć, że gracze objężdżający konno stół bilardowy i zatrzymujący wierzchowców swoich we właściwych miejscach, wielce zajmujący przedstawiać musieli widok. Ilekroć rumak w decydującej chwili wyląkł się i skoczył w bok, zapanowała wśród publiczności homeryczna wesołość. Po dwugodzinnych nareszcie zapasach, partja oznaczona na 100 punktów, rozstrzygnięta została na korzyść p. Warrington. Świetny bankiet, w którym uczestniczyli wszyscy obecni na turnieju widzowie, zakończył tę dotąd jedyną w swoim rodzaju partję bilardową.

Biedak jakiś skulony, skurczony, ołachmaniony, z chłodem i głodem dobrze widocznie zbratany, przypatrujący się zdala rozgrywającym między sobą partję a później uczującym, zapytał sąsiada drżącym głosem:

— Czy oni poszaleli?

— Nie, tylko nic im nie brakuje.

— Mój Boże! a mnie brak wszystkiego — odrzekł biedak i poszedł dalej.

Lupy wojenne z czasów wojny Stanów południowych z północnymi, przechowywane dotąd od roku 1865 w skarbcu w Waszyngtonie, na mocy teraz zapadłej uchwały kongresu, mają być właścicielom zwrócone. O łupach tych, składających się z szlachetnych metali i kamieni, przypomniano sobie dopiero przy okazji zdawania urzędu skarbnika Związku, Wymana, swemu następcy, Jordanowi.

Korespondent angielski z Bulgarii do londyńskiego Timesa w Londynie, donosi o młodej dziewczynie, która przebrana po męzku, odbyła całą kampanię, pod Śliwnicą i Pirotem otrzymała dwa medale za okazaną odwagę i przytomność nie zdradzając niczem swej osobistości. Jest to dziewczyna należąca do ludu, skromna, pełna naiwności. Gdy po zawarciu pokoju wróciła do Widyna, zapytywana z kąd się w niej zbudził zapal wojenny; odpowiadała zawsze z największą prostotą.

— Śniło mi się po trzy razy, że była wojna, że bito się za Bulgarią, ha! tak gdy nas bić zaczęto poszłam, aby się bronić.

Korespondent powiada, że jest to na mniejszą skalę Joanna d'Arc, tylko bez korony męczeńskiej i aureoli.

Z dziedziny humorystycznej.

Otwarcie tegorocznej letniej przystani Towarzystwa Wioślarskiego, odbyło się z należą uroczystością, bo i przy modlitwie przez chór męzki wyśpiewanej i przy zatknięciu flagi wioślarskiej i okrzykach li. cznie zgromadzonych członków. Przeprowadzenie jednak dalsze zamierzonej ztąd wycieczki do lasku Bieleńskiego, tak zostało zapewne mimowoli, humorystycznie przedstawione w „Kuryerze Porannym”,

że pobieżny jej przegląd być może, że uśmiech wesołości wywoła.

Otóż dnia 2 Maja, było pochmurno, wietrzno i chłodno: sądzono nawet, że zamierzona wyprawa nie przyjdzie do skutku, ale że według utartego terminu, *dzielni wioślarze* nigdy się nie cofają! więc rrru! na wodę i cała flotylla ukazała się na falach Wisły, zegnana przy dźwiękach marsza okrzykami tłumu ciękawych i wystrzałami z moździerzy. Niebo było posępne ale nastrój zgromadzonych wesoły, a że od przybytku głowa nie boli, więc niektórzy dalej do alembików! Jakoś dobrze się zrobiło, więc jeszcze po kapce... wtem coś zatrzeszczało, zaszumiało, kieliszek stracił nogę, owi niektórzy 'głowy i statek Warszawa dam najwięcej wiozący, utknął na mieliźnie.

Otóż i kłopot. Co tu robić?

Miny rzedną,
Twarze bledną,
Ten się nudzi,
Ów marudzi.

A że trunek,
Na frasunek,
Dobrze radzi,
Swej czeladzi,

Więc w kłopotcie,
Piję do cię,
Po raz trzeci,
Bo czas leci.

Puknęły więc korki i zaraz myśl owym *niektórym* zrażniała, poznali że utknięcie na mieliźnie, to czarna *intryga* Bufetowego, wymyślona dla pozbycia się wziętych zapasów. A więc w łeb *czarną intrygę*, szturm, waleczne opróżnianie talerzy z butersznitów a flaszek z alembików, w czem dzielnie się sprawiwszy jak przystoi, według utartego terminu na *dzielnych wioślarzy*, wydobyli z uwięzi przez statek Konstanty wraz z całym towarzystwem nieszukającym naturalnie ratunku... we flaszcze, stanęli szczęśliwie u celu wyprawy.

Widok na górze kilkunastu stołów, z przygotowaną ucztą, rozjaśnił oblicza wszystkim, bardzo słusznie! Owi *niektórzy* patrząc na flaszkę, uśmiechają się... z powodzeniem. Prezes Rawicz wznosi zdrowie dam! oklaski także słuszne, choć damy nie są według utartego terminu *dzielni wioślarzami*. Następuje potem odczytanie telegramu od wioślarzy Płockich, niestety! bez dodatku *dzielnych!* przyjęcie Ojca Kameduły, choralne śpiewy, taneczna uciecha i odjazd jeszcze weselszy od przyjazdu, gdyż owi *niektórzy*, zwani, według utartego terminu *dzielni*, przejęci dzielnym animuszem, już zamienili się w *zawianych*, jak się wyraził sprawozdawca i spoczywali na dnie kajuty na prędce zmienionej... w ambulans...

Wycieczka rzeczywiście powiodła się, powinszować jej należy Towarzystwu wioślarskiemu a i życzyć powołania, byle... bez owych *zawianych*, według utartego... i t. d.

* * *

— Dlaczego tak wyciągnąłeś fizjonomię?

— Ja czy co powiem, bo mnie czągle naczągają na składkę na tego spalonego wujaszka?

— Chcesz powiedzieć chyba Stryja?

— To wszystko jedno, przecieć i to jest rodzyna.

Kolce.

* * *

Adwokat broni swego klienta tak nudnie, że jeden z sędziów usypia i zaczyna chrapać.

Adwokat milknie.

— Dlaczego pan nie mówi dalej? — pyta prezydent.

— Radbym, aby mnie i sędzia X. słyszał...

— Że słuchał pana dotąd i to bardzo uważnie, to najlepszy dowód stan w jakim się obecnie znajduje.

* * *

Pani Iks jest bardzo romansowa, mówi prędko a zawsze z uniesieniem, westchnieniem i ócz przewracaniem. Pan Ypsilon zaś, mówi wolno, z przestankami, ale jednostajnym głosem, bez zniżania go lub podnoszenia.

— Oh! — mówi pani Iks — zdrada męża zabiłaby mnie!

— Być może — po chwili odpowiada pan Ypsilon.

— Jakto, być może? — zapytuje zaraz pani Iks i nie czekając na odpowiedź dodaje: — gdyby żona pańska na przykład uciekła z innym, czyż śmiercią byś tego nie przypłacił?

— Być może! — odpowiada znowu pan Ypsilon i uśmiecha się obliżując starannie.

— Ta wątpliwość dziwi mnie...

— Jest jednak naturalną, bo wielka radość niezawsze zabija.

ZAWIADOMIENIE.

PRACOWNIA

SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH I. CHŁUSOWICZOWEJ

Nowy Świat N-r 56.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres toalety damskiej wchodzące, na obecny sezon, z materiałów swoich, jak również i powierzonych i wykonywa takowe z jak największą elegancją, podług najświeższych modeli jak również i całe wyprawy po cenach bardzo przystępnych. Tyloletnie istnienie zakładu przedstawia zupełną gwarancję co do sumiennosci wykonania.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 20 wyszedł z druku i zawiera:

Dawne wspomnienie. — Grymaśnica (komedjka). — Chłopiec maziara. — Uroczystość majowa (drzeworyt). — Z wycieczki do Abissynii (z drzeworytem). — Kapitan Ferragus. — Z nauki. — Dodatek: Z pamiętników wędrowca (z drzeworytem). — Indyk (wiersz). — Na wakacjach. — Ojciec i Misia (wiersz). — Dwa koziołki. — Dobry Józio (wiersz). — Zdania moralne. — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Opis do N-ru 20.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z draperią faldowaną.

Ryc. 1 przedstawia kostium spacerowy, odrobiony z gładkiej, oliwkowej faille, i z materyi w pasy oliwkowe aksamitne i jedwabne w kratkę czerwoną i żółtą. Część widoczna spódnicy ułożonej w szerokie kontrafaldy, pokryta jest materyą gładką, pomiędzy którą z przodu i z boków wstawione są bryty z materyału w pasy. Suto zfaldowana draperia przednia, składa się z dwóch, jedna na drugą zachodzących części fartuszkowych, a z tyłu z dwóch prostych, suto podpiętych brytów. Pomiedzy przody i plecy stanika bawetowego, zapinanego na kryte haftki, wstawione są części z materyału w pasy, z którego dane także wąskie mankiety przy rękawach. Draperię zdobią, w sposób na ryc. 1 wskazany, agrafy z pasmanterii.

N. 2. Ubranie spacerowe z długim paletotem.

Jak w roku przeszłym tak i w bieżącym, przody paletotów zdobią szerokie, szalowe ranwery, stopniowo zwężone, do wcięcia w pasie dochodzące. Przy prawej połowie przodu, na wcięciu w pasie, dodaje się w krajanu patkę zaokrągloną, z obrobioną w niej dziurką, zapinaną na guzik przyszyty do lewego przodu. Poniżej patki ku dołowi, paletot zapina się na kryte haftki. Przy krajanu pleców można dodać od razu na środkowe fałdy, na wcięciu stanu, albo bryt oddzielny zmarszczony w górze, od spodu podszyć. Model paletota odrobiony był z ciemno brązowego dygonalu.

N. 3—4. Czepeczki negliżowe.

N. 3. Czepeczek gazowy.

Do czółka ze sztywnego tiulu 32 cent. długiego, w środku 5 cent. szerokiego, a w końcach spiczasto zwężonego, wszywa się denko z przodu w parę małych fałdek zaszyte. Fasonik ten oszywa się w koło koronką ułożoną w kontrafaldy, a zwierzchu pokrywa kawałkiem gazy białej, 77 cent. długim a 18 cent. szerokim, oszytym gładko koronką, 6 cent. szeroką, której z przodu ściśle przyfaldowany z boków jest gładko spuszczone, na koronkę przy czółku. Kokardy ze wstążki kremowej, atlasowej, 2 1/2 cent. szerokiej.

N. 4. Czepeczek z kokardą alzacą.

Fasonik stanowi czółko w środku 5 1/2 cent. szerokie, w końcach zwężone, do którego wszywa się denko ze sztywnego tiulu. Na tem zaczawszy od góry naszywa się z jednej strony dwa rzędy zachodzącej jedna na drugą koronki, 13 cent. szerokiej, z tyłu w podwójną kontrafaldę złożonej; z drugiej strony naszywa się koronkę wachlarzowo nagłowce aż do środka przodu, a z końca daje się węzeł na alzackiej kokardzie upiętej ze wstążki 8 1/2 cent. szerokiej, jasno-niebieskiej, szerokiej.

N. 5. Żabot krepowy.

Odpowiednio długi i szeroki kawałek krepy bladomalwowego koloru, u dołu złożony był na nagłówek 8 cent. szeroki i ściśle zmarszczony, a w górze zmarszczony i wszyty w złożony w fałdy pasek kołnierzykowy, z tyłu na haftki zapięty. Kokardy ze wstążki atlasowej z ząbkami, 5 cent. szerokiej, tego co krepka koloru.

N. 6. Żabot gazowy.

Model żabota odrobiony był z bladobronzowej, jedwabnej gazy, haftowanej bardzo cienką białą bawełną i z koronki 13 cent. szerokiej, takiego jak gaza koloru. Na 5

cent. wysoki, w poprzeczne fałdy złożony kołnierzyk, spada 60 cent. długi kawałek koronki, w 5 szerokich, plisowanych fałd złożony, z każdej strony niedochodzący na 4 cent. do brzegów kołnierzyka; poprzeczne brzegi koronki, powinny być szlaczkiem zakończone. Chusteczkowe końce żabotu z brzegów przednich oszyte przymarszczoną, do dołu spadającą koronką, zrobione są z dwóch przedłużonych trójkątów, których brzegi proste do 9 cent. sfaldowane, wszyte są w kołnierzyk.

N. 7. Poduszka do kanapy, ozdobiona aplikacją z pluszu.

Model poduszki mającej 47 cent. długości a 24 szerokości, odrobiony był z materyi oliwkowej w drobny deseń, a aplikacja gałązki kwiatów i paska skośnego 6 cent. szerokiego, dana była z jasno-miedzianego, jedwabnego pluszu. Listki z brzegów paska wyszyte były złotym bajorkiem i perełkami, a kontury kwiatów i listków obwiedzione różnokolorowym sznureczkiem jedwabnym i sznelą, i naszyte drobnymi woskowymi perełkami. Brzeg dolny zdobi frendzla kuleczkowa 5 cent. szeroka, a inne brzegi oszyte są grubym sznurem jedwabnym, okręconym sznelą; do zawieszania i przenoszenia poduszki, służy także sznur zakończony kwastami.

N. 8—11 i ryc. 35, 39 i 40 w N. 21. Stoliczek ozdobiony haftem gipiurowym. Deseń na dodatku z krojami do N. 18 i 19, Fig. 87—88.

Ryc. 8 przedstawia stoliczek obity pluszem ciemno-karmazynowym, i ozdobiony haftem gipiurowym, do którego na ryc. 11 dajemy część szlaku w naturalnej wielkości, ze

ściągów dajemy na ryc. 39 i 40 w N. 21, a dalszą część skośnie ściętego szlaku na fig. 87, na której złączenie oznaczone gwiazdką i dwukropkiem. Ażeby wzór szlaku mógł służyć do innych przedmiotów dajemy do niego narysunek na fig. 88 a na ryc. 10 zmniejszoną próbkę szlaku z przyłączonym narożnikiem. Koronkę robioną do stoliczka na gładkim płótnie, do serwet, ręczników można robić na płótnie w owiesek; próbkę ścięgu do zapelniania tła na owieskowym materyale dajemy na ryc. 26 w N. 21. Oprócz jedwabiu do wyszycia tła figur służy także dzielona filozela koloru miedzianego i pawiego; kontury figur koronki, robione są ścięgiem sznureczkowym.

N. 12—14. Fartuszek z napierśnikiem, ozdobiony wstawką i koronką wywodzoną na tiulu.

Prosty kawałek białego płótna albo perkalu, przemarszczonego na fartuszek do 8 cent. długości a do 10 szerokości u dołu dopelnia fartuszek wstawka tiulowa 8 cent. szeroka, przedzielona 7 cent. szerokim paskiem materyału, od koronki 17 cent. szerokiej. W górze przyszywa się do fartuszka przemarszczony napierśnik, 22 cent. szeroki, oszyty koronką 10 cent. szeroką. Deseń do wyszycia na wstawce i koronce na tiulu mocnym w duże dziurki, grubą bawełną, dajemy na ryc. 13 i 14. Pasek i kokarda ze wstążki atlasowej 4 1/2 cent. szerokiej.

N. 15, 25 i 30. Mantyla z kapturkiem.

Mantyla przedstawiona z przodu i z tyłu na ryc. 15 i 30, odrobiona była z czarnego wełnianego materyału w drobny deseń i z czarnej surah; garnirunek stanowiła koronka 9 i 21 cent. szeroka, guziki szmuklerskie i wisiałła dżetowe.

Formę mantyli łatwo dopasować można podług małego modelu i miar danych na ryc. 25. Przód a, zszywa się od krzyżyka do punktu z trochę przymarszczonym rękawem b, przykrojonym razem z plecami; ranwers odznaczony linią na przodzie, robi się oddzielnie. Kapturek c, trzeba z materyi przykroić i aż do linii załamania materyą podszyć, a część środkową pokryć wełnianym materyałem. Fałdy oznaczone krzyżykami i punktami, składają się przed zszyciem szwa dolnego od gwiazdki do dwukropka. Górny brzeg kapturka przyfaldowany podług objętości szyi wszywa się razem z mantylką w pasek kołnierzykowy 5 cent. szeroki.

N. 18. Kapelusz okrągły z prostym rondkiem.

Jasno-czekoladowy słomkowy kapelusz, ma rondko podszyte ciemniejszym aksamitem, którego kawałek skośny 9 1/2 cent. szeroki, zakończony wypustkami, otacza główkę. Na środku główki z tyłu, przypięty pęk piór czekoladowych do cienia i kilka kokard ze wstążki serge 6 cent. szerokiej.

N. 19. Kapelusz słomkowy z wysoką główką.

Rondko w górę odwinięte podszyte jest aksamitem brązowym (loutre) którego skos 35 cent. szeroki, przemarszczony i w drobne fałdki ułożony, upięty jest złotymi szpilkami, na główce 14 cent. wysokiej; duża złożona kłamra i żółte strusie pióra zdobią kapelusz.

N. 20. Szlak robiony ścięgiem gobelinowym i pojęty na dwie strony.

Szlak do rolet, serwet, fartuszków i t. p. robić można na płótnie kanwowym albo zwyczajnem domowej roboty, bawełną w dwóch kolorach

albo dwóch cieniach, albo bawełną białą. Stosownie do obranego celu, haft może być na jedną stronę, lub ścięgami jednakowymi na dwie strony. W haście gobelinowym ścięgi zmniejszają się lub przedłużają stopniowo o jedną nitkę, a ścięgi pojedyncze zajmują 4 nitki w kwadrat.

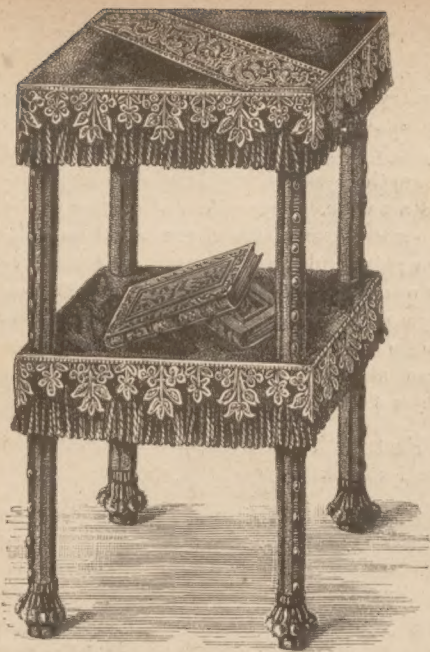


N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z faldowaną draperią.

N. 2. Ubranie z długim paletotem.

wskazaniem rodzajów ściągów, a na ryc. 9 deseń koronki lambrekinowej. Na tło do haftu służyło płótno żółtawe; kontury obwodzi się nitką złotą rzadko przydzierganą jedwabiem kremowym, którym odrabia się także ścięgi zdobiące i zapolniające tło figur. Dwie powiększone próbki



N. 8. Stoliczek ozdobiony haftem gipiurym. Zobaczyć ryc. 9—11 i ryc. 35, 39 i 40 w N. 21. Dalszy ciąg deseni na dodatku z krojami do N. 18 i 19, fig. 87—88.

W tej próbie ścięgi gobelinowe zajmują zawsze 4 nitki kanwy na wysokość, i są oddzielane od ściągów następnymi jedną nitką na szerz. W rzędach idących skośnie w górę, następne nitki zaczynają się o dwie nitki wyżej a w rzędach stepujących na dół o dwie nitki niżej. Do roboty służy filozela nierozdzielana albo pęta i pięcio-włókiennowe nitki srebrne. Figury odznaczone są kolorem czarnym i srebrem, a wypełniane czterema cieniami różowymi i niebieskimi.

N. 22. Próbką ścięgu gobelinowego w rzucik.

W tej próbie ścięgi gobelinowe nie są równej długości, tylko zajmują po 2 i po 4 nitki na wysokość w ten sposób iż tworzą małe kwadraciki. W tle i większych figurach najlepiej robić kwadra-

W hacie robionym dwoma kolorami lub dwoma cieniami, jaśniejszy służy do haftu gobelinowego, a ciemniejszy do ściągów pojedynczych i do gwiazdek.

N. 21—22. Haft gobelinowy węgierski, na kanwie.

Już w N. 17 z r. b., na ryc. 40, daliśmy próbkę ścięgu gobelinowego, robionego na kanwie niedzielonej; ponieważ ten rodzaj roboty jest ładny i łatwy, i służyć może do różnych celów, więc dziś dajemy dwie nowe próbki.

N. 21. Próbką ścięgu gobelinowego w zęby i przedłużone kwadraty.



N. 9. Koronka robiona ścięgiem gipiurym, do stolizka ryc. 8, która robiona na tkaninie w owiesek, służy do ręczników i t. p. Zobaczyć ryc. 35 w N. 21.



N. 3. Czepeczek gazowy do negliżowego ubrania.

N. 4. Czepeczek negliżowy z aksamitną kordą.



N. 7. Poduszka z aplikacją z pluszu.



N. 6. Żabot chusteczkowy gazowy.

N. 10. Zmniejszony model szlaku z przyłączonym narożnikiem. Deseń narożnika na fig. 88.

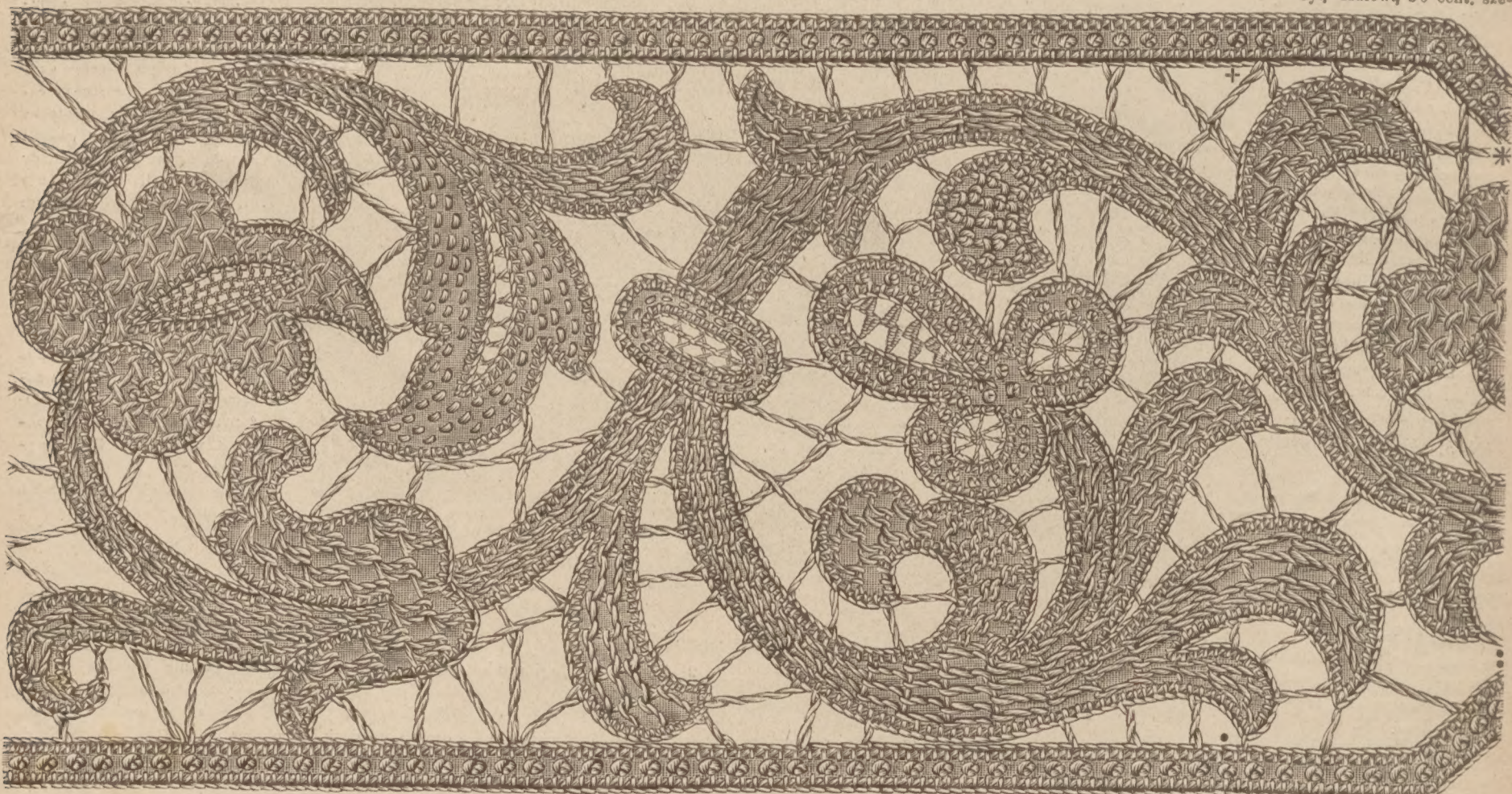
oiki rzędami skośnymi, z góry na dół, a w rzuciku prosto w górę i na dół. Na modelu robionym jedwabiem kordkowym, dwoma nitkami kwiatki były różowe do cienia z czubkami złoty-żółtymi a kielichem i łodyżką zieloną, tło było srebrno-popielatego koloru. W miejsce kordunku można robić włóczkę, w dowolnie dobranych kolorach.

Pod otwartą przodystanika dany jest żabot bluzkowy, a krótsze plecy dopełnia draperya z brycika prostego trzymającego 48 cent. w kwadrat. Spódnice faldowaną, wazytą w pasek, przyszywa się do podszewki stanika o 8 cent. poniżej wcięcia w pasie, i zdobi z przodu draperyą szalową 30 cent. sze-

N. 27—28. Ubrania dla małych pańienek.

N. 27. Sukienka ze stanikiem paletocikowym.

Pod otwartą przodystanika dany jest żabot bluzkowy, a krótsze plecy dopełnia draperya z brycika prostego trzymającego 48 cent. w kwadrat. Spódnice faldowaną, wazytą w pasek, przyszywa się do podszewki stanika o 8 cent. poniżej wcięcia w pasie, i zdobi z przodu draperyą szalową 30 cent. sze-



N. 11. Deseń szlaku do ryc. 8. Haft gipiurym; próbki ściągów na ryc. 35, 39 i 40 w 21. Zobaczyć narożnik na ryc. 10, desenie na dodatku do N. 18 i 19. Fig. 87 i 88.

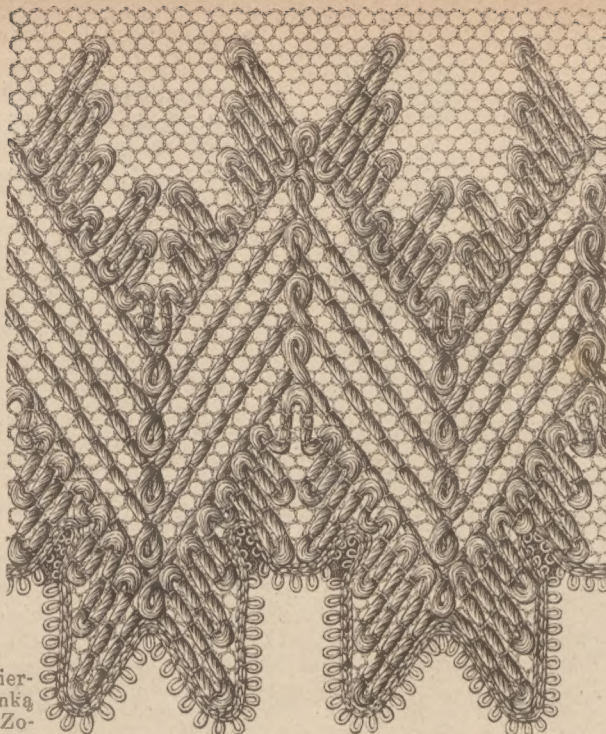
roka, ze spuszczone z boku kołcem 50 cent. długim a 20 szerokim. Na modelu spódniczka i stanik z boku zapinany, odrobione były z zielonej wełnianej etaminy przerabianej nitką niebieską i żółtą, a żabot, kołnierzyk, mankiety i ranwersy przy bocznych brzegach baskiny przodów, dane były z morwy ciemno lila.

N. 28. Sukienka z kaftaniczkim koronkowym.

Przód stanika zdobią według formy dopasowane kaftaniczko-przody z koronki; epoletki z koronki nadmarszczony, u dołu



N. 12. Fartuszek z napierśnikiem ozdobionym koronką wywodzoną na tiulu. Zobacz także ryc. 13 i 14.



N. 13. Koronka wywodzona na tiulu, do ryc. 12.



N. 15. Mantyla z kapturkiem. Przód na ryc. 30; model kroju na ryc. 25.

mitem, a do żabotu przyszyte są dwa duże, metalowe guziki, służące do zapięcia. Krótki, 6 cent. wysoki kołnierzyk i mankiety węzłem złączone, są z aksamitu.

N. 31. Wachlarz spacerowy.

Złotem malowane jaskółki zdobią nie tylko pokrycie z czerwono-brązowego atlasu lecz i oprawę wachlarza, z politurowanego, ciemno-brązowego drzewa. Sznury i kwasty jedwabne.



N. 16. Rękaw z gładkim mankietem, do sukni ryc. 33 i 20 w N. 21 Tyg. mód.

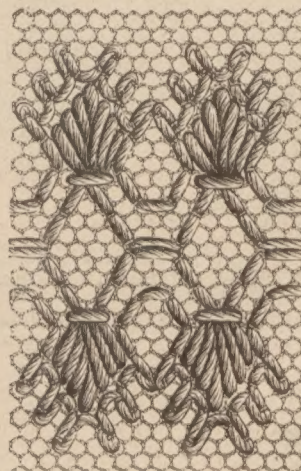
spódniczka oszyta gładko, koronką odwróconą w górę. Model odrobiony z materiału wełnianego koloru bordo, zdobiły mankiety, kołnierzyk i szarfa aksamitna takiegoż koloru.

N. 29. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

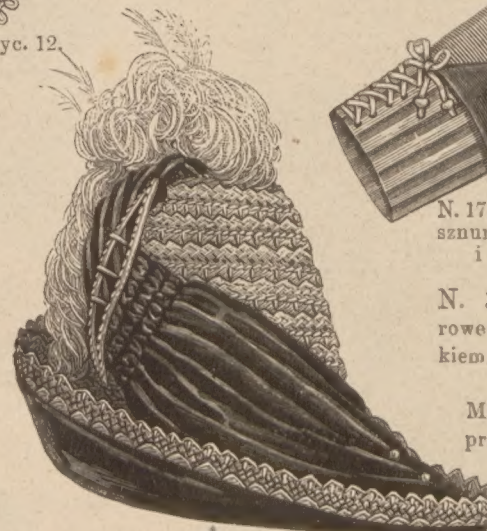
Na zapinanych z przodu, gładkich, podszewkowych przodach stanika, ułożony jest oryginalny żabot z płótna bośniackiego, którego kawałek 80 cent. długi, przymarusza się z prawego brzegu do 40 cent., przyszywa się na podszewce, a brzeg lewy przyfaldowany podług ryc. 29



N. 18. Kapelusz okrągły z prostym rondem.



N. 14. Wstawka do ryc. 12, wywodzona na tiulu.



N. 19. Kapelusz z wysoką główką.

N. 17. Rękaw z mankietem sznurowanym do ryc. 33 i ryc. 20 w N. 21.

N. 32. Ubranie spacerowe z długim płaszczkiem. Wymiar kroju na ryc. 23.

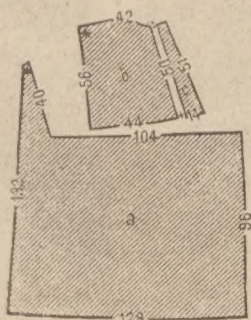
Model odrobiony był z przezroczystej etaminy, przez którą przebiegała jedwabna podszewka, koloru wiel-or. Do ozdobienia płaszczka służyła w środku na dwie strony zeszyta, koronka 11 cent. szeroka i pasmanteryja. Łatwy model kroju, dajemy na ryc. 23. Część pelerynowa b przyfaldowana w górze do 14 cent. zachodzi gwiazdką do gwiazdki na część przednią a, krajaną razem z niezeszytą częścią tylną. Od krzyżyka do dwukropka, ze-

ronka 11 cent. szeroka i pasmanteryja. Łatwy model kroju, dajemy na ryc. 23. Część pelerynowa b przyfaldowana w górze do 14 cent. zachodzi gwiazdką do gwiazdki na część przednią a, krajaną razem z niezeszytą częścią tylną. Od krzyżyka do dwukropka, ze-

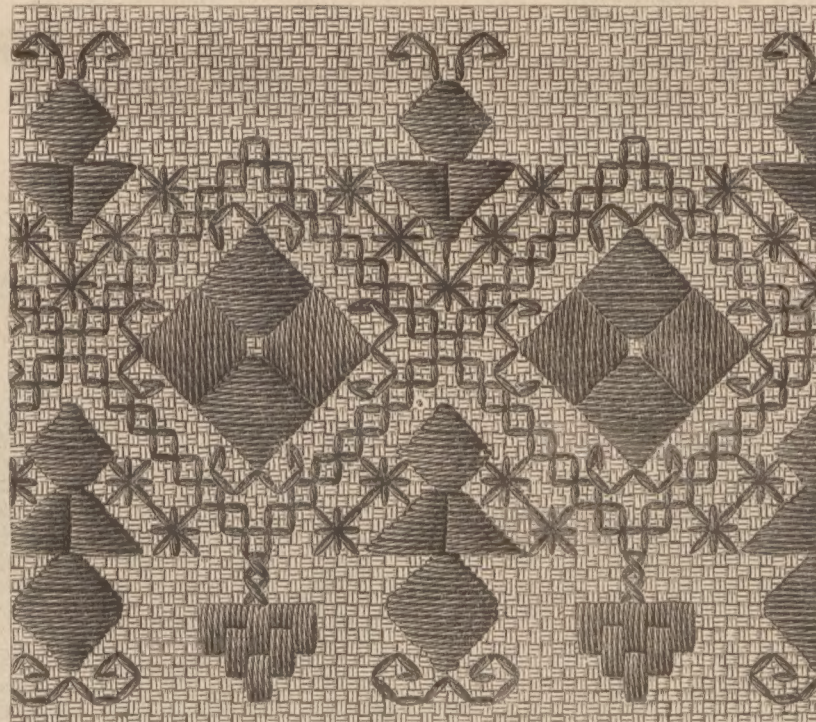


N. 21. Haft węgierski gobelinowy, robota na kanwie.

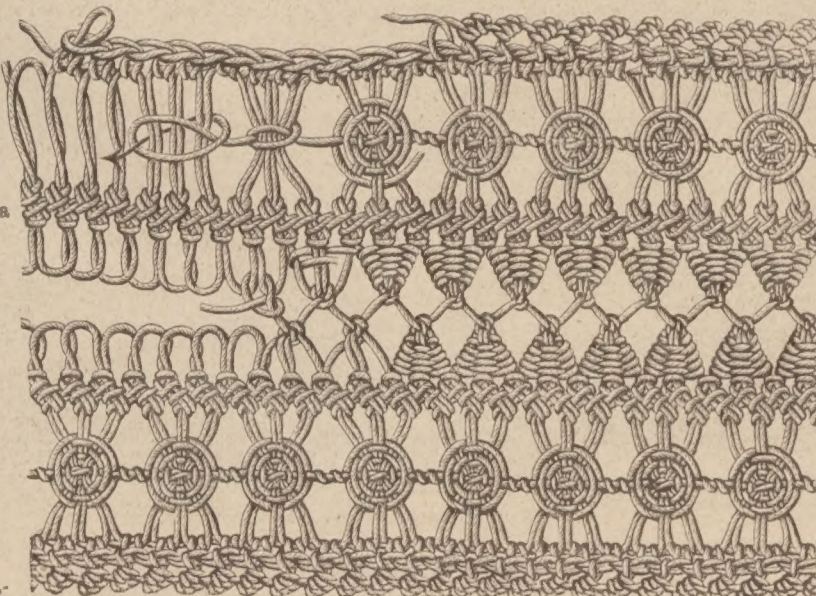
obszywa się listewką i przypina na haftki do drugiego przodu. Dolny brzeg żabotu zakończy pasek faldowany, aksamitny, 6 cent. szeroki. Kaftaniczko-przody wywinęte na ranwersy w górze 12 cent. szerokie, mają dwie dziurki objęte aksa-



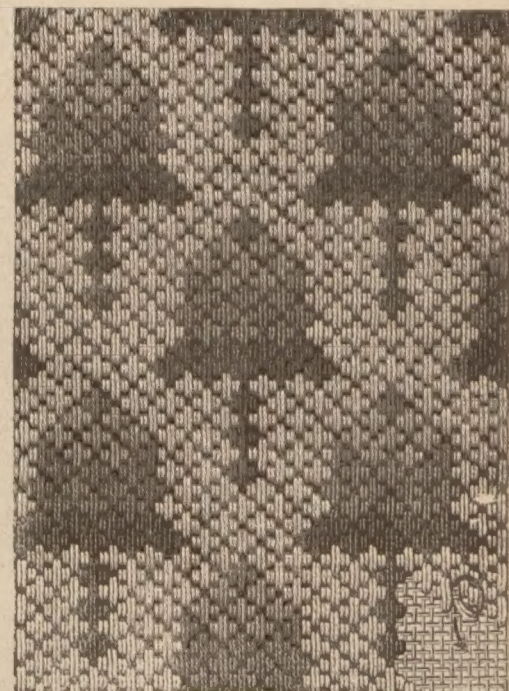
N. 23 Model kroju i miary, do płaszczka ryc. 32.



N. 20. Szlak do ozdoby sukien, fartuszków i t. p. Haft płaski gobelinowy i ściąganiem pojedynczym.



N. 24. Wstawka do poduszek, fartuszków i t. p. robiona na widelkach.



N. 22. Deseń w rzucik do roboty gobelinowej węgierskiej na kanwie.



N. 25. Model kroju mantyli, ryc. 15 i 30



N. 26. Jeden listek do koronki gipiurowej, szydełkowej ryc. 10 w N. 21.

szywa się peleryną z plecami c. Ozdobienie płaszczyka koronką i kokardami ze wstążki wskazuje ryc. 32.

N. 33 i ryc. 20 w N. 21. Suknia z długą draperyą.

Ryc. 33 i 20 w N. 21, przedstawia z przodu i z tyłu ładną suknię do ubrania domowego, odrobioną z welnianego materiału i ozdobioną szlankami, dodanymi w sztuce, i aksamitem tego co tło koloru. W dłu-

N. 34. Teki do pisania. Haft złoty w dawnym guście. Narożnik deseni w naturalnej wielkości na ryc. 45 w N. 21.

Już w r. 1885 w N. 14 Tygodnika na ryc. 7, 19 i 23 dawaliśmy wzór i opis haftu złotego, naśladowującego starodawne hafty złote, które odrabia się jedwabiem matowo złotego koloru i nitką złotą, na wypukłym podłożeniu bawełną. Na ryc. 45 w N. 21, mamy narożnik deseni do teki ryc. 34, na którym wskazujemy dokładnie w jaki sposób domieszane są ścięgi złote pomiędzy haft jedwabny. Model teki tem wspanialej wyglą-



N. 27.—28. Ubrania dla dziewczynek.

N. 27. Sukienka z kaftaniczkowym stanikiem.

N. 28. Sukienka z koronkowym kaftaniczkowym.



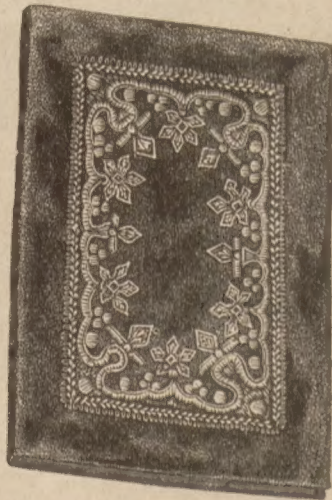
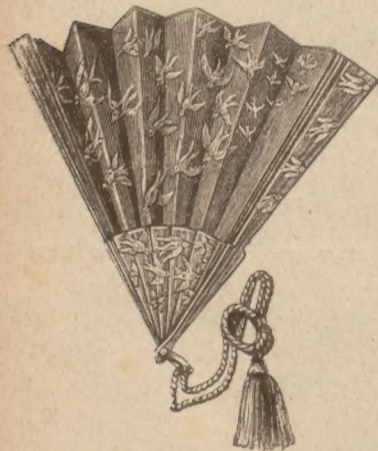
N. 30. Ubranie z mantylą. Zobaczycie plecy na ryc. 15, model kroju na ryc. 25.

giej i szerokiej prostej draperyi z przodu, wycina się w górę z jednej strony, kwadrat 70 cent. długi a 80 szeroki, a część dolną wystającą podnosi się w górę, fałduje i przyszywa w ten sposób, ażeby szlak naszyty wzdłuż na spódnicy, był przez otwór widoczny, jak to wskazuje ryc. 33. Draperyę tylną stanowi bryt prosty, 200 cent. szeroki, którego brzeg górny i brzeg boczny z lewej strony, fałduje się i wszywa w pasek. Dopełnienie draperyi z boków, stanowią pasy aksamitne 24 cent. szerokie. Przy staniku z baskiną, dodaje się w krajanu przodów, potrzebną na fałdy ilość materiału; do pleców fałdy na 6 cent. od dołu puszczone luźno dodaje się oddzielnie. Rękawy odpowiednie daje my na ryc. 16 i 17.



N. 29. Suknia z paletocikowym stanikiem.

da, że haft złoty pomieszany z haftem srebrnym robionym jedwabiem srebrno popielatego koloru i nitkami srebrnymi. Na modelu na pluszu karmazynowym odznaczony był deseń, a następnie plusz podłożony podszejkowym muslinem wazyty był w krośna; grube podłożenie bawełną daje się wzdłuż a haft robi poprzecznie, w środkach figur ze srebrem a resztę z nitką złotą podwójnie wziętą, którą przeżywa się haft, w równych, małych odstępach. Wązki, prosty szlaczek z brzegu wyszyty jest w kratkę nitką złotą, a tło pomiędzy nim i szlakiem szerokim, wypełniają ścięgi pikowane robione z boków jedwabiem srebrnego, a w rogach złotego koloru. Kontury deseni obwiodzone są cienkim złotym sznurkiem, którym wyszyty także łańcuszek po brzegach.



N. 32 i 33. Ubranie spacerowe i domowe.

N. 32. Ubranie z długim płaszczykiem.

N. 33. Suknia z długą draperyą. Zobaczycie plecy na ryc. 20, rękawy na ryc. 16 i 17.

N. 34. Teki do pisania. Haft dawny złoty. Deseń na ryc. 45 w N. 21.

N. 31. Wachlarz spacerowy.